

NASZE

Cena 20 sant

ŻYCIE

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III

Ryga, 21 listopada 1937 r.

№ 47 (153)

Bijemy na alarm!

Zmniejszenie naszego jedyne go dziś pisma polskiego o 4 (cztery) strony przeszło — można to już obecnie stwierdzić — prawie bez wrażeń. Żadnego znaku żądanej rady czy słowa otuchy.

Nie. Głuche milczenie. Wydaje się rzecz drobna, ale — dla naszych stosunków — mimo całą swoją „mizerność“ — charakterystyczna.

Bo albo znieczuliło nas życie, uderzając raz po raz w pierśi roztruchaniem coraz to bardziej wymyślnych niespodzianek, albo — po prostu — przez wrodzone nam lenistwo — obojętni jesteśmy na wszystko, co nas bezpośrednio nie dotyczy, co w nas bezpośrednio nie uderza, naszego rzekomego szczęścia — szczęścia własnego podwórka — nie uszczupla.

Spotykamy często ludzi, co to — zanim ich między oczy nieszczęście nie uderzy — podobni są do lunatyków: patrzą a nie widzą, słuchają a nie słyszą. Jak w marlinie.

Czyżby nasze społeczeństwo upodobniło się do tego rodzaju istot? Albo może nie docenia ono potrzeby istnienia własnego pisma w ogóle? Niech wszyscy czytają każdy swoje pismo — nam wystarczy gazeta pierwsza z brzegu — w rosyjskim, niemieckim itd. — byle nas z drzemki poobiedniej nie budziła stawianiem smutnych prawd przed oczy?

Może w ogóle...

Obojętność społeczeństwa na sprawy, które go powinny jak najbardziej obchodzić, jest pierwszym krokiem ku zanikowi tego społeczeństwa, wskaźnikiem, że może ono lada rok rozplynać się bezboleśnie w morzu otaczających go innych społeczeństw, przestać istnieć. Przestać czuć, że się jest, to przestać żyć. Można chodzić, można jeść, można krzątać się dookoła spraw związanych z wypełnieniem żądań, ale jednocześnie można umierać moralnie, można nie być, przestać istnieć.

Czy nie znajdujemy się na drodze, która wiedzie nas ku zatraceniu, u której kresu jest śmierć nie fizyczna, ale śmierć duchowa, śmierć moralna nas wszystkich,

jako społeczeństwa polskiego, jako tych, których praojcowie osiedli tu od wieków i swój ślad, swój dorobek nam w spadku przekazali?

Od pytań retorycznych, podyktowanych wzburzeniem charakteru uczuciowego, przejdźmy jednak do faktów konkretnych, do postawienia tej sprawy — sprawy obojętności naszego społeczeństwa na kwestie nas wszystkich najbardziej obchodzące — w płaszczyźnie krytyki rozumowej.

Powinniśmy stwierdzić, że — mimo dotkliwych strat i porażek, jakie w naszym życiu ostatnio zanotować możemy, mimo trudnych warunków egzystencji na ogół — czujność nasza i potrzeba zspolenia się, zjednoczenia, podźwignięcia się nie tylko się nie wzmogły, jak tego należało się spodziewać, ale — raczej przeciwnie — osłabły.

Obojętność? Zdziwiająca, zastraszająca obojętność. Wracamy jednak do pisma. Rzucamy szereg pytań.

Prosimy: odpowiedź na nie powinna się znaleźć. Szukajmy jej wspólnie. Jak lekarz — badajmy przyczynę choroby, aby zapobiec jej skutkom. Bez rozdrażnienia, ale odważnie. Bez wzajemnego wymyślenia, ale szczerze. Bez podziału na klikę czy kliczkę, ale wszyscy: starzy i młodzi, z tego i z tamtego ośrodka, czerwoni i biali, mniej lub więcej mądrzy, biedni i zamożni —

wszyscy — wszyscy — wszyscy! Dlaczego np. jest wśród nas sporo takich, którzy na czele tych czy innych organizacji stoją albo po prostu wysunęli się przed społeczeństwo i mu — pozornie przynajmniej — przewodzą, ale jedyne go pisma polskiego w Łotwie nie prenumerują? *haha!*

Przykłady? Proszę. Rozmowa telefoniczna. Pytanie: będzie pan dzisiaj na Akademii w Domu Polskim? Odpowiedź:

- Nie. Nic o niej nie wiem.
- Jak to? Nic Pan nie wie?
- Nie.

Pismienictwo jest jakby zbrojownią, w której narody broń duchową składają i przechowują

Buckle

— A czyta pan „Nasze Życie“? W odpowiedzi — wstydlive milczenie i potem trochę wykrętnych, usprawiedliwiających słów.

Dlaczego? Dlaczego organizacje nasze, liczące jeszcze obecnie setki a nawet tysiące członków, uważają, że jeden egzemplarz pisma otrzymywany w świetlicy czy przez prezesa i to najczęściej gratis może być spełnieniem apelu o czytanie przez wszystkich polskiego słowa drukowanego?

Dlaczego? Dlaczego nasze nieliczne nauczycielstwo, którego autorytet jest — zwłaszcza wśród młodzieży — zawsze dominujący nie tylko nie zachęca do czytania młodzieży, ale też samo w znacznej ilości nie prenumeruje „Naszego Życia“?

Dlaczego? Dlaczego nie prenumeruje pisma młodzieży? Członkowie ZPM? Harfy? Oświaty? Promienia?

Dlaczego? Bo przecież nie można powiedzieć, że jesteśmy nieświadomi tego, iż tylko grosz do grosza składany czyni cuda, umożliwia dźwignięcie niejednej sprawy, a więc umożliwia też i wydawanie pisma. Że nie jest ono prezentem. Że nikt nie czyni ofiary, składając się — w postaci prenumeraty — na jego życie, jego byt. Bo to ani prezent, ani ofiara — tylko chleb codzienny, bez którego rzeczywisty a uczciwy Polak obejść się nie może.

Bijemy na alarm! Trzeba ażeby w każdym zakątku, gdziekolwiek tutaj znajdują się Polacy, uderzyło na głos tego alarmu mocniej żywe jeszcze serce polskie.

Rozpalmy ogniska wiary w swoje jutro w rodzinach polskich. Niech tym razem wici, które rozsyłały, wróć do nas mocnym słowem otuchy, radą, wskazówką, zdrową krytyką, wreszcie — groszem, który umożliwi dalszą egzystencję pisma i jego powrót do poprzedniej szaty.

Czekamy. Em

**) Tacy panowie jak Mir-Miryn, Chęć, Kłosy, Maxymilian Cietkowski*

Kronika polityczna

— Z powodu Święta Łączplesa 11. b. m. na cmentarzach lotewskich i polskich żołnierzy poległych w walkach niepodległościowych zostały złożone wieńce przez gen. Bacha i konsula R. P. w Daugawpilsie Buynowskiego.

— Delegacja samorządu ryskiego, która bawi obecnie pod kierownictwem burmistrza stolicy R. Liepinia w Pradze, przyjęta została przez prezydenta Czechosłowacji Dr Benesa.

— Rozporządzeniem ministra spraw społecznych A. Berzińskiego zawieszono zostało wydawnictwo czasopisma „Straume” (Prąd).

Przypominamy, że **B. BAUZYKA**
polak elementarz
wydawnictwo **B. JUCHNIEWICZA**
w DAUGAWPILSIE można nabyć u
B. Juchniewicza, w RYDZE u **G. Butkiewicza**.

...bieżąca

— 16. b. m. telefon na Łotwie obchodził swój interesujący jubileusz, a mianowicie: 60-lecie swego istnienia. Pierwsza rozmowa telefoniczna w Rydze miała bowiem miejsce 16. listopada 1877. roku: redaktor „Rigasche Zeitung” poddał próbie przywiezione z zagranicy aparaty, przy pomocy których rozmawiano z oddalonych od siebie o kilka metrów ... pokoiów redakcyjnych.

Tak było 60 lat temu.

Obecnie w Łotwie istnieje około tysiąca central telefonicznych z 65.000-ami abonentów oraz z 1642-oma punktami telefonicznymi, przeznaczonymi dla rozmów publicznych. Na Rygę przypada około 25.000 abonentów telefonicznych.

— Na tegoroczne mistrzostwa koszykówki zgłoszono 65 drużyny. Jak donosi prasa, polski klub sportowy w Rydze „Reduta” zgłosił do mistrzostw 2 (dwie) drużyny.

— Łotewski aeroklub liczy według ostatnich danych 28.000 członków.

— W tygodniu ub. opuścili Łotwę udając się na nowe placówki: dotychczasowy przedstawiciel Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT) w Rydze red. Downarowicz oraz przedstawiciel Agencji Telegraficznej „Express” w Łotwie red. Radziwiński.

...gospodarcza

— Nowy departament w ministerstwie rolnictwa nosi nazwę departamentu weterenaryjnego i obejmuje — w zakresie rozszerzonym — te sprawy, które dotychczas prowadził urząd do spraw weterenaryjnych.

— W całej Łotwie w ciągu roku 1956-go przybyło 1867 budowli liczących 4432 izby mieszkalne. W okresie od 1954. do 1957. r. wybudowano 554 budowle przeznaczone dla użytku publicznego, w czym 120 budynków szkolnych.

— W okresie pierwszych dziewięciu miesięcy r. b. wpływ z tytułu eksportu masła wyniósł 46 mil. ls.

— W rolnictwie obecnie — w myśl oświadczenia ministra skarbu L. Ekisa — stałe ceny są wyznaczone dla 21 rodzajów produkcji rolniczej.

— Przeciętnie jedno przedsiębiorstwo handlowe w Łotwie wypada na 50 mieszkańców (w miastach na 24. na wsi—140).

TYDZIEŃ

Nie dość jest pismo CZYTAĆ, trzeba je jeszcze ROZPOWSZECHNIAC wśród swoich bliskich i znajomych oraz samemu PRENUMEROWAĆ (t. zn. płacić za jego otrzymywanie).

Pamiętaj, że miesięcznie (cztery ładne, ilustrowane i bogate w treść numery) „Nasze Życie” kosztuje TYLKO 80 (osiemdziesiąt) santymów.

— Obroty roczne sklepu wojskowego (Armijas ekonomiskais veikals) w stolicy wzrosły z 15,6 mil. ls. w r. 1955-im do 19 mil. ls. w r. 1956-ym.

...kulturalna

— 18. b. m. w Kownie odbyła się uroczystość otwarcia wystawy sztuki lotewskiej, w której bierze udział 22 malarzy lotewskich, wystawiających 116 prac.

— Pomnik Wolności w Łatgalii stanie w Rezekne. Koszta pomnika wyniosą ok. 60.000.

Kino „PROGRESS”

Marijas ul. 7 Od 15-go listopada.

KRONIKA ŁOTWY:

Uwieńczony dobrymi rezultatami wysiłek zjednoczonego narodu lotewskiego

Jadwiga Smosarska

w filmie

Namiętność czerkiesa

„Bez posagu”

DIKS i DOWS — WYNAJĘCI ADORATORZY

Początek o godz. 17. (5-ej). W niedzielę od godz. 11 do godz. 12 pół ceny.
BILETY OD 50 SANT. Uwaga! Studenci i aizsargowie płacą pół ceny.



Prezydent Państwa
Dr K. ULMANIS
i minister Wojsy gen.
J. BALODIS w kasynie
oficerskim stolicy wśród
kawalerów orderu
Łączplesa

W ŁOTWIE

Święto Niepodległości R. P. w Łotwie

— Obchód Święta Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej w Rydze rozpoczął się 11. b. m. o godz. 8.15 rano solennym nabożeństwem w kościele Matki Boskiej Bolesnej. Na nabożeństwie obecni byli: poseł nadzwyczajny R. P. w Łotwie minister Franciszek Charwat z członkami Po-

selstwa, konsul R. P. Stefan Ryniewicz z członkami konsulatu, przedstawiciel armii polskiej mjr Feliks Brzeskwiński oraz przedstawiciele Polonii miejscowej.

Nabożeństwo celebrował ks. prałat Stukiel.

W godzinach popołudniowych poseł nadzwyczajny R. P. w Łotwie min. Franciszek Charwat przyjmował w poselstwie życzenia z okazji Święta Niepodległości. W związku z powyższym w salonach poselstwa zgromadziła się w godz. 17—19 spora ilość osób, reprezentujących społeczeństwo polskie w Rydze. Wieczorem o godz. 20-tej w wypełnionej po brzegi sali w Domu Polskim odbyła się uroczysta akademii poświęcona 19-tej rocznicy Niepodległości Polski, którą zagałił prezes Pol. T-wa Oświaty organizującego akademii p. N. Liberys.

Odczyt na temat święta Niepodległości wygłosił p. B. Gołubiec.

W dziale koncertowym wystąpił m. in. Chór Maturzystów Pol. T-wa Oświaty pod batutą Karola Izarta. (m.)

W przeddzień Święta Niepodległości Polski w Daugawpilsie w konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej odbył się raut, w którym wzięli udział liczni przedstawiciele wojskowości, urzędów oraz społeczeństwa łotewskiego i polskiego.

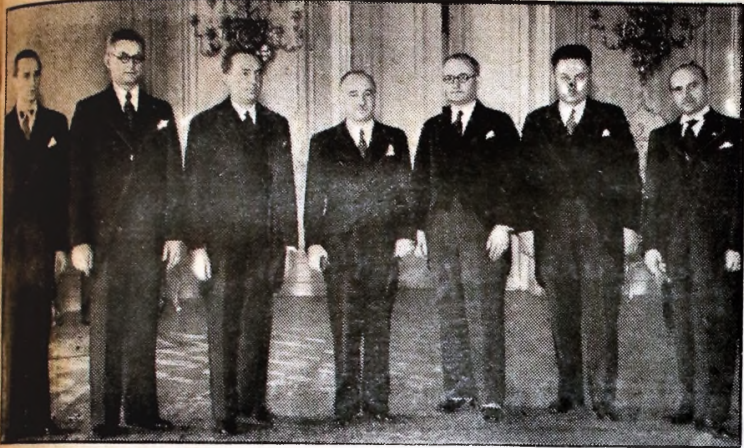
Okolicznościowe przemówienie wygłosił dowódca miejscowego garnizonu gen. Z. Bach, wznosząc toast za Polskę, prezydenta R. P. prof. Mościckiego, marszałka Śmigłego - Rydza oraz gospodarza domu — konsula T. Buynowskiego. W odpowiedzi konsul Buynowski w swym przemówieniu nawiązał do wspólnych losów Polski i Łotwy oraz więzów przyjaźni, zadziergniętych na polach krwawych walk, o czym świadczą liczne cmentarze żołnierzy polskich, rozsiane na terenie Latgalii i powiatu Iluksztańskiego. Konsul Buynowski wznosił toast na cześć Łotwy, Jej prezydenta Dra K. Ulmanisa, ministra wojny gen. J. Bałodisa, armii łotewskiej oraz jej najwyższego spośród obecnych na raucie przedstawiciela gen. B. c. h. a.

Goście podejmowani serdecznie i troskliwie przez p.konsulstwo Buynowskich w sympatycznej atmosferze bawili się długo za północ.

— W Święto Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej — dnia 11. listopada — w kościele św. Piotra w Okowach w Daugawpilsie odbyło się solenne nabożeństwo, celebrowane przez ks. proboszcza Zundę.

Na nabożeństwie byli obecni najwyżsi dostojnicy garnizonu i urzędów oraz przedstawiciele społeczeństwa wraz z licznie zebraną ludnością polską. Na honorowych miejscach zasiadli dowódca garnizonu gen. Z. Bach, prefekt Daugawpilsu N. Jansberg, zastępca burmistrza A. Inka, członkowie zarządu miejskiego A. Budze i A. Kalniņ, prezes daugawpilskiego oddziału Towarzystwa Zbliżenia Łotewsko-Polskiego J. Krumiņ i inni.

Ks. proboszcz W. Zunda wygłosił kazanie po łotewsku i po polsku, podkreślając w gorących słowach znaczenie wolności i niepodległości w rozwoju życia narodowego oraz wskazując na rolę jednostek bohaterkich i ofiarnych, biorących na swe barki ciężar odpowiedzialności w krytycznych chwilach historii. (w.)



Delegacja łotewska u prezydenta Czechosłowacji Dr Beneš'a

Wymowa prasy

— „Briwa Zeme“ z dnia 5. b. m. zamieszcza następującą notatkę, którą podajemy w dosłownym tłumaczeniu:

„Powiat Ilukstes, który przez cały czas wyjątkiem ostatnich kilku lat — znajdował się w sferze wpływów obcych, coraz bardziej uzyskuje oblicze łotewskie i ducha łotewskiego. To, że każda myśl łotewska i praca znajduje tutaj żywy odzwiek, świadczy o tym, iż obcość była tutaj narzucona, nasadzona sztucznymi sposobami. Obok odrodzonych szkół w umocnieniu ducha narodowego wielką rolę odegrywają w powiecie Ilukstes szkoły uzupełniające, które odwiedzają dorośli. W r. ub. w powiecie istniały 24 szkoły uzupełniające z 28 — 113 słuchaczami przebieganie w każdej. Poza tym b. licznie odwiedzane były również kursy historii łotewskiej, geografii oraz języka łotewskiego. Wiadomości o Łotwie, jej przeszłości i roli obecnej w rodzinie narodów współczesnych wśród obcych narodowości coraz bardziej się rozszerzają w związku z czym rośnie szacunek i dumę ze swego państwa i ojczyzny.

Miejscowa ludność prosiła również w r. b. o otwarcie i rozpoczęcie pracy w szkołach uzupełniających. Jej prośba, oczywiście, zostanie uwzględniona. — lo“.

— W „Rīts“ie z dnia 14. b. m. (w Nr. 513) znajdujemy w liście do redakcji oskarżania się niejakiego K, który notuje kilka wypadków, kiedy rodzice narodowości łotewskiej lub mieszanej posyłają swoje dzieci do szkół mniejszościowych. Autor listu kończy następującym zwrotem, który cytujemy dosłownie:

„...Zakładając dla każdej narodowości jej własną szkołę, myślny nigdy nie zmuszali, ażeby dzieci innych narodowości uczęszczały do szkół łotewskich. Nie! Niech pobierają naukę w tym języku, jaki uważają za swój język ojczysty. Ale nigdy

żaden Łotysz nie może zgodzić się z tym, że od pnia łotewskiego odrywane są dzieci setkami w Rydze oraz w innych częściach państwa.

A jednak wszystko wskazuje na to, że fakty takie jeszcze mają miejsce!”

„Reduta“ przegrywa

— Jak donosi „Rīts“, spotkanie zespołów piłki nożnej Reduta — VEF zakończyło się zwycięstwem drużyny łotewskiej w stosunku 8:1. Już w trzeciej minucie, jak stwierdza „Rīts“, sędzia usunął z pola bramkarza Reduty Zandarowicza. ponieważ ten ostatni „uderzył napastnika VEF-u Nejmjanisa w twarz“.

Spotkanie Reduta — VEF było ostatnią rozgrywką o mistrzostwo w pierwszej lidze. W wyniku ostatecznym Reduta zajęła w ogólnym zestawieniu zespołów pierwszej ligi 7-me miejsce.

Odpowiedzi Redakcji

W. Podskarbis — Dobele. Rachunek na zakupiony patefon może Pan zaświadczyc w Konsulacie przed wyjazdem. Polskie książki w księgarni Butkiewicza są. Jeśli Pana książeczka wojskowa jest zameldowana w Konsulacie Polskim, nie powinien Pan stawać się na rejestrację zanim nie dostanie osobistego wezwania. Zasadniczo robotnicy sezonowi mają odroczenie do chwili powrotu do kraju, wojskową książeczkę jednak stanowczo musi Pan zameldować w Konsulacie. Niestety, w takich wypadkach, jak to Pan pisze, nazwisk w piśmie podawać nie możemy. Zabrania nam tego prawo prasowe. Frenumeratę ma Pan opłaconą do 1. IV. r. b.

Wieści z Polski

NA SZEROKI

STO BIBLIOTEK IM. SIENKIEWICZA. Polska Macierz Szkolna organizuje w 21-ą rocznicę śmierci pierwszego prezesa Rady Naczelnej Polskiej Macierzy Szkolnej, Henryka Sienkiewicza — Dzień Oświaty Pozaszkolnej, połączony z kwestą uliczną. W dniu 14. listopada odbyło się poświęcenie i oddanie do użytku społeczeństwa 100 bibliotek imienia zmarłego pisarza.

ZBIÓR POLSKICH MELODYJ W AMERYCIE. Nakładem firmy Edward Marks Music Company ukazał się w Nowym Jorku zbiór popularnych melodii polskich w układzie znanego kompozytora i pianisty prof. Zygmunta Strojowskiego. Wydawnictwo opatrzone jest zarówno w tekst polski, jak i w angielski.

„HALKA” MONIUSZKI w operze chicagowskiej. Opera chicagowska już w ostatnich dniach listopada wystawi „Halke” ze świeżo przybyłym z Polski Jerzym Czaplickim.

NAGRODA LITERACKA Warszawy na rok 1937 została przyznana Marii Kuncewiczowej, nagroda naukowa — profesorowi Szkoły Głównej Handlowej Konstantemu Krzeczowskiemu.

Nagrodę artystyczną stolicy przyznano Wojciechowi Kossakowi oraz muzyczną — prof. Stanisławowi Kazurze.

Akademikiem Polskiej Akademii Literatury na miejsce zmarłego przed kilku dniami Bolesława Leśmiana został obrany Jan Lorentowicz — czołowy krytyk literacki i teatralny.

PO MIĘDZYNARODOWYM SEZONIE PIŁKARZY POLSKICH. Piłkarze polscy zakończyli już tegoroczny sezon międzynarodowy.

Ze ostatnie sukcesy piłkarskie nie były przypadkowe, najlepiej świadczy ogólny bilans spotkań międzynarodowych w roku bieżącym.

Tegoroczny sezon międzynarodowy piłkarze polscy rozpoczęli w marcu zwycięstwem nad reprezentacją Paryża w imponującym stosunku 5:1. w kolej wygrali ze Szwecją 3:1. „Potknęli się” na

Kunonii, przegrywając 2:4. Była to jedyna porażka. Wszystkie pozostałe mecze zakończyły się zwycięstwem Polaków, a jeden wynikiem remisowym. Z Danią wygrali 3:1, z Bułgarią 3:3, z Łotwą 2:1, z Jugosławią 4:0, z Francją Północną 2:1 i wreszcie z Bologną 5:1.

Bilans bramkarzy wynosi 29:13 dla Polski.



Na lewo: OŚRODEK OBOZOWY POD ZAKOPANEM DLA MŁODZIEŻY POLSKIEJ Z ZAGRANICY. Budowany przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy specjalny Ośrodek Obozowy dla młodzieży znajduje się w Groniku-Kościelisku. Zdjęcie nasze przedstawia budynek świetlicy Ośrodka, będący obecnie w stanie wykańczania. **Na prawo: TYP GÓRALA Z KOŚCIELISK**

Bolesław Rudzki

Prawda o Tuchaczewskim

Rozmowa, którą niżej w formie artykułu zamieszczamy posiada charakter rewelacyjny. Przypadek zrzucił, że jednemu z oficerów z otoczenia marsz. czerwonej armii Tuchaczewskiego udało się zbliżyć w ostatniej chwili za granicę i zetknąć się z dziennikarzem polskim.

Wiadomość o nielase Kremla dla Michała Tuchaczewskiego, marszałka „Armii Czerwonej”, potem o jego aresztowaniu, sądzeniu i rozstrzelaniu zaskoczyła cały świat.

Jak to — pytano — wierny sługa bolszewickiego reżimu, pogromca Czechosłowaków nad Wołgą, oddziałów Kołczaka za Uralem, dywizyj Denikina na południu Rosji, wódz armii czerwonej, idącej w 1920 roku na podbój Polski, pogromca groźnego dla czerwonego reżimu buntu marynarzy kronsztackich w 1921 roku oraz całego szeregu powstań chłopskich, najzdolniejszy generał armii bolszewickiej, zginął na jednym z dziedziców wziętych Lubianki, uznany za szpiega i zdradcę czerwonej ojczyzny? Jaki jest istotny powód tak surowego sądu nad tym bądź co bądź niezwykłym człowiekiem?

Na pytanie powyższe dawano mniej lub więcej trafne odpowiedzi. Nikt jednak z dających je nie miał zupełnej pewności. Tak więc przyczyna śmierci marszałka Tuchaczewskiego pozostała nierozwiązaną zagadką. I tę to właśnie zagadkę poniżej rozjaśniam, ujawniając istotną przyczynę śmierci Tuchaczewskiego. Jak zaś do jej rozwiązania doszedłem, zaraz opowiem.

W kilkanaście tygodni po krwawym sądzie moskiewskim doniesiono mi, że jeden z bliższych współpracowników marszałka Tuchaczewskiego, szczęśliwie uniknąwszy aresztowania, uciekł za granicę i, dobrze zabezpieczony przed mściwą i delekcyjną ręką G. P. U., przebywa w jednym z sąsiadujących z Rosją Sowiecką państw. Zainteresowany się bliżej tą wiadomością, przekonałem się, że jest ona prawdziwa i co najciekawsze i przyjemne dla mnie osobiście, że ów uciekinier to mój dawny kolega szkolny z Samary. Wprawdzie jest on o kilka lat starszy ode mnie i chodził do gimnazjum o dwie klasy wyżej, ale mieszkał ze mną na jednej i tej samej „stacji” i dzięki temu żyłem z nim na przyjacielskiej stopie, tym bardziej

że zbliżyły nas do siebie temperamenty i równe niemal wówczas zamilowania. Potomek zrusyfikowanych mirzów tatarskich odziedziczył niemal że wszystkie cechy swoich przodków; nieokielznany temperament, zawadiakość, szaloną odwagę, szczerą uczuć i przyjacielską wierność. Dla nas Polaków objawiał szacunek, preradzający się częstokroć w uwielbienie. Nic więc dziwnego, że mimo nawet różnicy wieku, narodowości, religii i środowiska, przyjaźniliśmy się bardzo, a jego portret, mimo przeszło dwudziestoletniej przestąpienia czasu, nie zatęchł w mej pamięci. Ilekroć bowiem o nim myślałem, zawsze przed oczyma moimi stawał wysmukły młodzieniec o regularnych rysach, czarnych, lekko wkos osadzonych oczach, w których w momentach ożywienia pojawiały się charakterystyczne błyski. Szerokie, nieustannie śmiejące się usta, ozdobione rzędami śnieżnobiałych zębów, nadawały tej dziwej postaci cechę ufności i pociągły doń każdego. Tak się przedstawiał mój samarski przyjaciel przed dwudziestu laty.

Rzecz zrozumiała, że wiadomość o jego ucieczce z „sowieckiego raju” i możliwości spotkania się z nim zelektryzowała mnie. Chciałem się z nim natychmiast zobaczyć. Chciałem go ujrzeć po dwudziestoletniej rozłące i chciałem się od niego dowiedzieć rzeczy konkretnych o Rosji sowieckiej i jej ponurych tajemnicach. Życzenie moje nie mogło być zaraz uwzględnione. Przyjaciel mój przybył z „sowieckiego raju” tak zmaltretowany, że przez kilka tygodni zmagał się ze śmiercią, a że i rekonwalescencja była niezbyt pomyślna, przeto lekarze zabronili surowo czymkolwiek niepokoić go i wzruszać, bo mogłoby to spowodować katastrofę.

Jednak nadszedł moment tych odwiedzin. Przyznaję się, że jechałem na nie z wielkim wzruszeniem. Miałem bowiem spotkać się z człowiekiem, z którym przeżyłem wiele najpiękniejszych chwil w moim życiu i który miał mi zarazem przypomnieć te wszystkie straszne ciosy, jakie mnie spotkały przed dwudziestu laty... Poza tym uprzedzono mnie, że będę rozmawiał nie z człowiekiem pełnym sił i energii, ale ze strzępem ludzkim, ze zgrzybiałym niemal starcem, liczącym niespełna czterdzieści lat... Niestety, w niczym nie przesadzono. Powiedziano prawdę. Może nawet za mało powiedziano, niż powiedzieć należało. Bo kogo ujrzałem z ry-

sami i oczyma mojego dawnego druha samarskiego? Białego, jak gołąb starca z twarzą przedwcześnie pomarszczoną, jak pieczone jabłko, który, nie mogąc stać o własnych siłach, przy powtórzeniu drżącą ręką ścisnął moją zdrową prawicę i śmiał się do mnie serdecznie i przyjacielsko, jak za dawnych czasów, pokazując przy tym rząd białych zębów, jedyne bogactwo, którego nie zdolali go pozbawić krwawi moskiewscy siepacze i sypiacz z oczu zaszytych łzami resztki dawnego blasku, którym czarował niegdyś wszystkich.

TUCHACZEWSKI — ŻOŁNIERZ

Po ogólnych wzajemnych wynurzeniach zaczęliśmy rozmawiać szczerzej na tematy konkretnie i wówczas przyjaciel mój rzekł:

— Zdziwiła cię zapewne wiadomość, że służę w „Armii czerwonej”. Pozwól więc, że, jako szkolnemu koledze, wytłumaczę ci to dokładnie. Jak ci wiadomo rodzina moja nigdy nie była prawdziwie rosyjską. Była zasymilowana państwowo, ale nie narodowo. Byliśmy lojalnymi obywatelami państwa rosyjskiego i wiernymi sługami cara. Dopóki car panował, nikt z nas nie myślał go zdradzać, ani też walczyć z nim. Abdykacja cara i ustanowienie w Rosji republiki wytworzyły w duszy naszej pewnego rodzaju pustkę. Brakło jedyne elementu, który nas mocno wiązał z państwem — tronu. Pomimo to nie przestaliśmy być lojalnymi obywatelami nowego państwa rosyjskiego i bez żadnego sprzeciwu stanęliśmy do szeregu armii na wezwanie republikańskiego rządu. Zresztą do wojska miałem zawsze pociąg.

Jednak republikańska armia nie spełniła moich marzeń. W chwili wcielenia mnie do jej szeregów rozkład armii rosyjskiej był już w szeregach wldoczny. Gniewało to mnie ogromnie. Zadałem wysłania mnie na front. Chciałem się bić, a nie politykować. Ale i na froncie nie było lepiej. Dlatego z pewną ulgą wkrótce odjedźmy z frontu ranny w nogę i pierś. Rewolucja październikowa zastała mnie w szpitalu. Byłem jeszcze niezdolny do szeregów. Puszczono mnie do domu. Pojechałem, nie wiedząc właściwie po czyjej stronie w rozgrywających się wówczas wypadkach. W domu szybko zacząłem przechodzić do zdrowia. Miałem już nawet zamiar wstąpić do tworzących się w pobliżu oddziałów „białych”, walczących z bolszewikami, gdy niespodziewanie przybycie ojca i dwóch starszych braci pokrzyżowało moje plany. Ojciec i bracia, po ciężkiej tułaczce, przybyli właśnie do domu, gdyż nie chcieli się angażować ani po jednej, ani po drugiej stronie. Uważali bowiem, że zarówno „czerwoni”, jak i „biali” są samozwańcami, których

W ŚWIECIE

OGROMNE ZANIEPOKOJENIE W PARYŻU wywołał nagły wyjazd do Rzymu ambasadora włoskiego Cerruti. Rzekomo ambasador Cerruti został odwołany i na swoje stanowisko w Paryżu nie powróci. Należy nadmienić, że ambasador francuski w Rzymie, mianowany przed rokiem, nie mógł dotychczas objąć swej placówki, gdyż Rzym domaga się, aby listy uwierzytelniające ambasadora były adresowane do króla Włoch i cesarza Etiopii, co pociągałoby za sobą urzędowe uznanie podboju Abisynii przez Francję. Interesującym jest fakt, że podobnego żądania nie wysunęło w Rzymie m. in. wobec posła Stanów Zjednoczonych,

który złożył listy uwierzytelniające adresowane tylko do króla Włoch.

PRÓBNA MOBILIZACJA W AMERYCE. W ostatnich czasach obiegają pogłoski, jakoby amerykański sztab główny miał przygotować plan mobilizacji na wypadek wojny. Obecnie wyszło na jaw, że do oficerów rezerwy niektórych rodzajów broni wystosowano list z zapytaniem, czy zgodziliby się objąć stałe stanowiska w armii na wypadek, gdyby sytuacja stała się krytyczną, oraz w jakim terminie mogliby ewentualnie zlikwidować swe prywatne sprawy. Poza tym departament marynarki wydał poufne instrukcje dowódcy floty wojennej na Pacyfiku, dotyczące ewentualnej konieczności nagłego wypłynięcia floty. Pewna liczba okrętów zgrupowana jest w sąsiedztwie wysp Aleuckich.

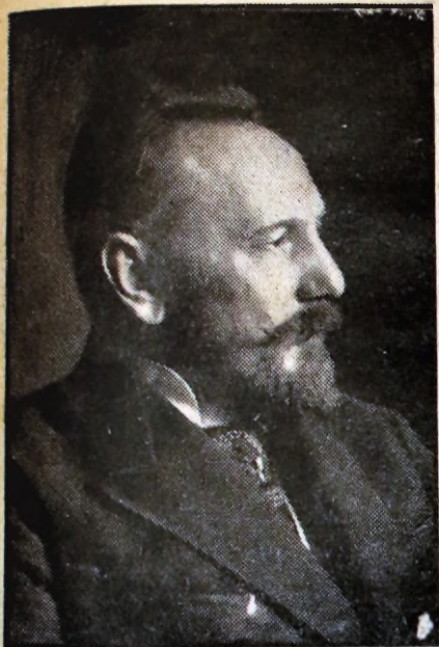
W kołach poinformowanych podkreślają jednak, że departamenty wojny i marynarki mają prawo czynienia tego rodzaju przygotowań z ich własnej inicjatywy bez żadnych instrukcji z Białego Domu. Oba te departamenty wydawały częstokroć zarządzenia, które stanowiły pewne odchylenia od linii politycznej, ustalonej przez rząd. Niemniej zarządzenia, wydane przez sztab główny, świadczą, że Ameryka liczy się z możliwością wybuchu wojny.

W CIĄGU PAŹDZIERNIKA ROZSTRZELANO... 1328 OSÓB. Helsinki. Jak donosi „Uusi Suomi“, w ciągu miesiąca października bieżącego roku rozstrzelano w Rosji Sowieckiej za różne przestępstwa, głównie natury politycznej, 1328 osób. Poza tym dziennik potwierdza wiadomość o popełnieniu samobójstwa przez b. naczelnika GPU na Ukrainie, a potem na Dalekim Wschodzie, Bialickiego.

PARCELACJA CHIN. Tokio. „Hoszi Szimben“ donosi z Pekinu, iż władze japońskie mają ogłosić nowy ustrój administracyjny dla Chin północnych na następujących zasadach:

- 1) Wyłączenie Chin północnych spod władzy Nankinu;
- 2) bezwzględny zakaz organizacji komunistycznych;
- 3) współpraca gospodarcza z Mandżurią i Japonią;
- 4) wspólna organizacja obrony przez Chiny północne, Mandżurię i Japonię.

Głównym hasłem nowego rządu Chin ma być „Chiny północne — dla Chińczyków północnych“.



LAUREACI POLSCY

Z lewej: JAN LORENTOWICZ — nowy członek Polskiej Akademii Literatury oraz MARIA KUNCEWICZOWA — laureatka Warszawy w dziedzinie literatury na rok 1937-ty

prawowierny poddany państwa rosyjskiego nie powinien popierać.

— Bezczyne siedzenie w domu sprawiało mi po prostu fizyczny ból. Wybrałem się więc do Samary, celem wynalezienia tam sobie jakiegoś zajęcia. Po przybyciu do tego miasta, będącego wówczas siedzibą „białego rządu“ i centrum całego antybolszewickiego ruchu, wpadłem w wir nowego życia. Będąc materialnie niezależnym, nie zaangażowałem się do żadnej pracy, poczyniłem tylko cały szereg nowych znajomości, które pozwoliły mi przyjrzeć się z bliska „białym rządcom“, a szczególnie różnym „jeneralskim wielkościom“, stojącym na czele całego ruchu antybolszewickiego. Skutki tego patrzenia się z bliska na rządy „nowej Rosji“ były takie, że wprost zniechęciłem je i wszystko cokolwiek z nimi miało wspólnego. Takiej głupoty, tępoty umysłowej, pyszałkowatości i politycznej apodyktyczności nie spotykałem nigdzie.

— Z satysfakcją też słuchałem wieści o trzęsaniu skóry „białym jenerałom“ i zbliżaniu się do Samary „armii czerwonej“, dowodzonej przez Tuchaczewskiego, o którym po Samarze krążyły najfantastyczniejsze legendy, wynoszące pod niebiosa jego męstwo, energię i walory wodza. Słuchając tego wszystkiego i patrząc na głupotę, bezradność i bezhołowie „białych“ jenerałów, zacząłem w duszy najpierw szanować, potem podziwiać, wreszcie uwielbiać Tuchaczewskiego i równocześnie zapragnąłem służyć pod jego rozkazami.

— Pragnienie moje ziściło się dość szybko. Tuchaczewski bowiem zajął Samarę. Natychmiast zgłosiłem się w jego sztabie, żądając widzenia się z nim samym. Po dłuższych tłumaczeniach i utarczce słownych z różnymi sztabowcami dopuszczono mnie wreszcie do Tuchaczewskiego. Z drżeniem serca wchodziłem do gabinetu, w którym zastałem dwudziestokilkuletniego mężczyznę, ubranego w zwyczajny mundur żołnierski. Na mój ułobek skinął niedbale głową i zaczął mi się przedmikiwie przypatrywać swymi wielkimi, popielatymi oczyma. Trwało to jednak niedługo. Bowiem po chwili uśmiechnął się do mnie, kazał mi usiąść i zaczął mówić:

— Wiem, że towarzysz chce służyć w armii czerwonej pod moimi rozkazami. Bardzo to mnie cieszy, bo potrzebuje dzielnych i zdecydowanych na wszystko ludzi. A towarzysza do nich właśnie szukam. Z góry zaznaczam, że u mnie każdy żołnierz i pilnie spełniający rozkazy żołnierz może awansować i zająć poważne stanowisko w armii. Towarzysza zatrzymuję przy swoim boku

chcę bowiem, aby towarzysz zapoznał się bliżej z moim systemem pracy.

— I zostałem w sztabie, mając przez to możliwość dokładnego obserwowania sposobów, jakimi Tuchaczewski przywracał w rozpolitykowane szeregi armii dyscyplinę i zaufanie do siebie samego jako naczelnego wodza. Czasami bywałem świadkiem własnoręcznego zastrzelenia przez Tuchaczewskiego jakiegoś dowódcy pułku, batalionu czy kompanii za uchybienie rozkazom, albo degradacji oficerów na szeregowców za to, że niedostatecznie dbali o powierzonych ich opiece żołnierzy. A że to wszystko zwykły robił na oczach zgromadzonego wojska, więc wszyscy go się bali i jednocześnie poważali. Szczególnie żołnierze przepadali za swoim „komdiw'em“. Wiedzieli bowiem, że jest wymagający, ale też dba o nich. Tuchaczewski poznał mnie dobrze i wiedział, że na mnie zawsze może liczyć. Powierzał mi często funkcje noważniejsze, z których wywiązywałem się bez zarzutu.

— Takich, jak wy, towarzyszu, więcej — zwykły mawiać — a zawojujemy świat cały.

AMBITNE PLANY I OFENSYWA PRZECIWPOLSKA

— Że snuł wielkie plany podboju całej Europy i uczynienia z niej jednego wielkiego państwa — to nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. Nigdy nie zapomnę jego rozradowanej twarzy, kiedy to rankiem 14. maja 1920 roku dał rozkaz rozpoczęcia wielkiej ofensywy na froncie polskim, ofensywy, która według jego planów miała roznieść pożar rewolucji po całej Europie. Wielokrotnie potem, w czasie jej trwania, zastawałem go dumającego nad kartą Europy i wkręślającego na niej drogi, po których winna pójść armia czerwona po zdobyciu Warszawy i opanowaniu Polski.

— Ale marzenia Tuchaczewskiego nie miały się ziścić. Właśnie zajęty był pisaniem na brudno rozkazu dziennego, który miał być ogłoszony armii zaraz po zdobyciu Warszawy, gdy nadeszła pierwsza wiadomość o powstrzymaniu przez wojska polskie ofensywy i zmuszeniu armii czerwonej do odwrotu. Wiadomość tę zakomunikowałem marszałkowi osobiście. Uderzyła weń, jak grzmot w jasnego nieba. Porwał się na nogi, zbladł, chciał coś powiedzieć, wreszcie skinął tylko ręką, abym odszedł. Odchodząc zauważyłem, że czoło jego pokryte było kroplami potu.

— Upłynęła długa chwila zanim zdecydował się na wydanie pierwszych rozkazów, mających na celu wstrzymanie za wszelką cenę cofających się pułków. Niestety, było to już niemożliwe. Sytuacji nie poprawił nawet Budienny, który wreszcie na wyraźny rozkaz Lenina, zaalarmowanego przez

Tuchaczewskiego, zawrócił na północ, w celu nawiązania przerwanej łączności z grupą Chwesina. Klęska była już rzeczą nieuniknioną. Rozpoczął się paniczny odwrot, o którym Tuchaczewski przyjmował wiadomości z zacisniętymi ustami i wyraźnym przygnębieniem. Zamykał się przy tym coraz częściej w swoim przybocznym warsztacie, w którym wyrabiał skrzypce. W kilku dniach zmienił się do niepoznania. Schudł, przygarbił się i postarzał. Widać było, że klęskę armii odczuł niesłychanie boleśnie. Nie skarżył się jednak na nikogo. Jedynym, raz, gdy mu zdawałem raport z nadeszłych wiadomości, w których mowa była także o Stalinie, zawołał z żalem w głosie: „Ach ten Stalin, ten Stalin!.. Gdyby nie on, wszystko byłoby inaczej...“

— Okrzyk powyższy świadczy najlepiej o tym, że klęskę armii czerwonej pod Warszawą Tuchaczewski przypisywał głównie Stalinowi, któremu właśnie w czasie decydującej walki pod Warszawą zachciało się zdobywać Lwów. Na jego bowiem życzenie Budienny miał pójść w kierunku północno-zachodnim w myśl rozkazu Tuchaczewskiego, poszedł na południo-zachód przez co osłabił udzielenie armii czerwonej na Warszawę.

OD WARSZAWY ROZPOCZĘŁA SIĘ NIECHĘĆ

— Aczkolwiek jasnym było, kto głównie przyczynił się do klęski pod Warszawą, Tuchaczewski całą winę za niepowodzenie ofensywy wzięł na siebie, słowkiem nie mówiąc o „lwowskich“ ambicjach Stalina. Pomimo to Stalin czuł stale urazę do Tuchaczewskiego, nie ufał mu i bał go się po prostu. Dopóki żył Lenin, niechęć Stalina do Tuchaczewskiego nie była widoczna. Po śmierci jednak Lenina niechęć ta uwidoczniła się na każdym niemal kroku; Stalin spychał nieustannie Tuchaczewskiego na podrzędne stanowiska i ostrzegał swoich przyjaciół, by byli ostrożni z Tuchaczewskim, bo w jego żyłach płynie krew „pomieszczyka“.

— Tuchaczewski o tej niechęci Stalina był dobrze poinformowany. Toteż i sam nie żywił żadnego poważania dla tego ambitnego gruzińskiego nieokrzesanego, przeto unikał kontaktu z nim i usilnie pracował nad odbudową armii czerwonej w oparciu o którą zamierzał raz kiedyś rozprawić się ze Stalinem i jego kliką. W tym też celu duży wkład położył najpierw w wychowanie młodych oficerów, a potem i samych żołnierzy. Dzięki jego wysiłkom armia czerwona zyskała niesłychanie wiele. Widział to Stalin. Widział to także Stalinowska klika. A że Tuchaczewski zupełnie nie mieszał się do żadnych rozgrywek wewnętrznych, jakie wybuchły na Kremlu po śmierci Lenina, i niczym nie zdradzał swoich istotnych planów,

Dział religijny

Na niedzielę XXVII-mą po zesłaniu Ducha św.

ZAPISANA U SW. MATEUSZA (24, 15—31)

Kiedy zatem zobaczycie obrzydliwość spustoszenia, zapowiedzianą przez Daniela proroka, jaka zaległa miejsce święte, — kto czyta niech rozważy! — wówczas ci, co są w Judei, niech uciekają w góry, a kto się znajduje na tarasie domu, niech nie schodzi, by zabrać cokolwiek ze swego mieszkania, a kto jest na polu, niech nie wraca, by zabrać płaszcz swój. — A biada brzemieniom i karmiącym w owe dni! Proścież tedy, aby ucieczka wasza nie wypadła w ziemie lub w szabat.

Wtedy bowiem nastanie wielka udręka, jakiej nie było od początku świata aż dotąd, ani nie będzie. I gdyby nie były skrócone dni owe, żaden człowiek nie mógłby ocalać. Ale przez wzgląd na wybranych dni owe zostaną skrócone. Wówczas, gdyby wam kto powiedział: „Oto tutaj jest Chrystus“, albo „tam“ — nie wierzcie. Powstaną bowiem fałszywi chrystusowie i fałszywi prorocy, i czynić będą wielkie znaki i dziwy tak dalece, że nawet wybranych wprowadziliby w błąd, gdyby to było możliwe. Oto przepowiedziałam wam. „Gdy więc rzekną wam: „Oto jest na pustkowiu“ — nie wychodźcie; „oto jest w ukryciu“ — nie wierzcie. Albowiem, jak błyskawica wybiega ze wschodu i jawi się aż na zachodzie, tak też będzie z przyjściem Syna człowieczego. Gdzie jest padlina, tam i orły się zbiorą. A natychmiast po udręce dni owych słońce się zaćmi, księżyc też nie dla blasku swego, a gwiazdy z nieba spadać będą i moce niebios zostaną wstrząśnięte. I wówczas na niebieskich ukaze się znak Syna człowieczego. Wtedy to biadać będą wszystkie plemiona ziemi i ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego na obłokach niebieskich z wielką potęgą i chwałą. I wysłę aniołów swych z trąbą i głosem donośnym, i gromadzą wybranych Jego z czterech wiatrów od krańców niebios aż do krańców ich.

Kiedy przy codziennym pacierzu odmawiamy „Wierzę w Boga“, powtarzamy też artykuł wiary, który na równi z innymi jest prawdą niezmienną: „przyjdzie sądzić żywych i umarłych“. Pan Jezus powróci jeszcze raz na świat jako sędzia, aby wydać wyrok sprawiedliwy nad całą

ludzkością. Tą prawdą krzepili chrześcijanie po wszystkie czasy swe udręczone serca.

Niespokojne i krwawe czasy obecnie każą i nam podnieść oczy i oczekiwać tęsknie powrotu Chrystusa Pana. Pan Bóg nie objawił nam jednak, kiedy nastąpi

przejęto po kilku latach wyraźnego odsuwania go od decydujących stanowisk, zaczęto powoływać go do góry, powierzając mu coraz to poważniejsze funkcje. Wprawdzie nie ufa mu się całkowicie i obstawia się go różnego rodzaju szpiegami, którzy dzień i noc śledzą każdy jego krok i skwapliwie notują każde jego powiedzenie. Tuchaczewski wie o tym dobrze. Jest więc ostrożny, wstrzeźliwy w słowach, zamknięty w sobie. Nie daje więc żadnego pozorów do nieufności. Kreml jest spokojny, bo „Tuchaczewski nic nie knuje...“

Tymczasem tak nie jest. Już w 1927 roku Tuchaczewski myśli o rozpędzeniu siłą rządzącej na Kremlu kliki. Tworzy koła z wybranych oficerów i zbliża się do nich coraz bardziej. Wszystko to odbywa się na platformie pogłębienia wiedzy wojskowej. Dlatego też nie mu zarzucić nie można. Z biegiem lat Tuchaczewski grupuje dokoła siebie coraz więcej pewnych i oddanych sobie oficerów, którzy w myśl jego instrukcji zakładają i prowadzą dalsze koła oficerskie. W kołach tych mowa jest tylko o sprawach wojskowych. Polityka jest wykluczona. Wykłady odbywają się przeważnie według dzieł Tuchaczewskiego, które są napisane ciekawie i z istotnym znawstwem dziedziny wojskowej. Tego rodzaju metoda pracy konspiracyjnej okazała się szczęśliwa. Dzięki niej bowiem w armii podnosił się niesłychanie stan umysłowy oficerów i tym samym podoficerów i żołnierzy oraz wytwarzał się stopniowo kult dla wodza, o którym tyle rozprawiano w czasie zebrań i wykładów.

— Stalin i jego klika w tej koronkowej robocie nie mogli dopatrzeć się nic złego. Przeciwnie. Musieli przyznać, że jest ona korzystna dla armii, która dzięki zabiegom Tuchaczewskiego stawała na coraz wyższym poziomie i niektóre jej oddziały mogły być śmiało porównywane z najlepszymi oddziałami armii francuskiej czy niemieckiej.

— Marszałek Tuchaczewski zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że Rosją sami Rosjanie nie są zdolni rządzić, że trzeba się uciec do pomocy zasymilowanych państwowo nie-Rosjan. A tych w państwie rosyjskim nie brak. Dlatego na zaufanych swoich wybierał przeważnie cudzoziemców z pochodzenia, których wierność wszechstronnie wypróbował.

MIEDZY BERLINEM A PARYŻEM

— Mówią, że Tuchaczewski był germanofilem i że utrzymywał stałe kontakty z niemieckim sztabem generalnym oraz dążył do zawarcia ścisłego przymierza z Niemcami.

— Otóż stwierdzam z naciskiem, że marszałek

Tuchaczewski jako wojskowy wyrażał się zawsze niesłychanie entuzjastycznie o armii niemieckiej i w wielu wypadkach z tej armii brał wzór. Entuzjazm jego dla armii niemieckiej wzrósł poważnie po powrocie z manewrów niemieckich w 1934 roku. Wówczas niejednokrotnie podnosił walory bojowe armii niemieckiej i podkreślał, że należy usilnie dążyć do tego, aby i armia czerwona mogła osiągnąć taki wysoki poziom bojowy, jak armia niemiecka. O konieczności zawarcia sojuszu z Niemcami nigdy nie mówił ani słowem. Wprawdzie miewał często rozmowy z oficerami niemieckimi. Rozmowy te jednak miały charakter ściśle fachowy. Spraw politycznych nigdy nie omawiano. Jedynie czasami poruszano sytuację gospodarczą Rosji, która to sytuacja Tuchaczewski żywo się interesował. Nic poza tym. Być może, że przez pewien czas w umyśle Tuchaczewskiego błąkał się projekt sojuszu niemiecko-rosyjskiego. Jeżeli taki projekt istniał, to głównie obliczony on był na wewnętrzne poparcie przez Niemcy zamiarów Tuchaczewskiego w planowej rozgrywce ze Stalinem i jego kliką. Nie jest też wykluczone, że plany te Tuchaczewski omawiał z niejakim dr. Ernestem Hanfstaenglem, zaufanym i przyjacielem kanclerza Hitlera, jak o tym już pisano w wielu dziennikach. Mógł się więc Hanfstaengel z rozmów swych, prowadzonych z Tuchaczewskim „wygadać“: zaczęto coraz pilniej śledzić i wreszcie wpadnięto na właściwy trop jego planów i zlikwidowano go wraz z całym szeregiem towarzyszy i zaufanych. Tego nie wykluczam. Stwierdzam jednak z naciskiem, że marszałek Tuchaczewski żadnej zdrady tajemnic wojskowych na rzecz Niemiec nie popełnił.

— I popełnić tego właśnie na rzecz Niemiec nie mógł, gdyż od wiosny 1936 roku zaczął coraz wyraźniej odsuwać się od koncepcji niemiecko-rosyjskiego sojuszu a coraz więcej zainteresowania objawiać wobec Francji i jej armii. Zwrot na rzecz Francji nastąpił po sierpniowych manewrach francuskich w 1936 roku, z których Tuchaczewski powrócił wprost oczarowany armią francuską i francuskimi przygotowaniem obronnymi. Przez szereg wieczorów na poufnych zebraniach opowiadał dokładnie o tym wszystkim, co widział, podkreślając na każdym kroku wyższość armii francuskiej nad niemiecką.

— Ten zwrot sympatii Tuchaczewskiego do Francji nie był rozgłaszany. Niemiecki sztab ludził się, że ma w nim swego entuzjastę, gdy już tak nie było. Tuchaczewski nie rozwiewał jednak tego złudzenia. Miał wówczas głowę zaprzętą ważniejszymi sprawami. Przede wszystkim pobyt we Francji i rozmowy z generałami i politykami fran-

ów koniec świata. Lecz ewangelia dzisiejszej niedzieli mówi nam dużo o sądzie ostatecznym i czasach, które poprzedzić go mają. Właściwe zrozumienie tej ewangelii daje wiele światła w tej tajemniczej i wielkiej sprawie.

Rzecz działa się w ostatnim tygodniu przed męką Pana Jezusa. Chrystus Pan opuścił świątynię z swymi apostołami zapowiadając, że nie pozostanie z niej kamienia na kamieniu.

Potem wstąpił na Górę Oliwną, z której rozciągał się prześliczny widok na święte miasto Jeruzolimę i na świątynię. Wtedy zapytali się Go uczniowie, pełni trwogi, kiedy to spełni się ta straszna groźba zburzenia Jeruzolimy i świątyni? I dodali zaraz drugie pytanie: Kiedy nastąpi koniec świata? Bo w ich umysłach łączyły się te dwie sprawy ściśle ze sobą: jeżeli nie stanie miasta świętego i świątyni, wtedy zapadnie się i świat — tak rozumowali.

Pan Jezus więc odpowiedział im też na te dwa pytania. Wzrokiem, ruchem ręki objaśniał swe słowa, które przerywali Mu zapewne apostołowie dodatkowymi pytaniami. Dla apostołów zatem była dzisiejsza ewangelia o końcu świata jasna; dla nas, którzy nie znamy już wszystkich szczegółów, stała się jednak mniej jasną i zrozumiałą.

cuszki orientowały go zupełnie w położeniu, w jakim się znajduje Rosja i w wypadkach, jakie się rozegrają zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. A to uświadomiło go zupełnie co do bezpieczeństwa sojuszu z Niemcami. Równocześnie we Francji nawiązał także kontakt z emigracją rosyjską, o której wiedział, że posiada liczne i dobrze zorganizowane komórki w Sowietach. Komórki te właśnie Tuchaczewski chciał mieć po swojej stronie w przygotowywanej rozgrywce ze Stalinem i jego kliką. Wiem, że prowadzone rozmowy dały częściowo pozytywne wyniki, że miały być nadal prowadzone. Tuchaczewski powiedział jasno kierowniczym kołom emigracji rosyjskiej do czego zmierza — do obalenia i zdławienia całego systemu, jaki dziś panuje w Rosji, a wynikiem którego jest powstająca nędza i bezprzykładny ucisk ludności państwa rosyjskiego.

OKOLICZNOŚCI DRAMATU

— Tuchaczewski — podkreślam to z naciskiem — całkowicie rozezarał się do marksizmu. Wiedział jasno, co marksizm dał Rosji. Początkowo był jednak wielkim jego entuzjastą i sługą, nie tyle z przekonania, ile z osobistej ambicji. Chciał być istotnie drugim Napoleonem. A nie tak właśnie nie sprzyjało jego ambitnym i zawrotnym planom, jak właśnie powszechna rewolucja. Skoro później przekonał się, że marzenia jego na wielką skalę są nieosiągalne, zaczął myśleć o realizacji ich w znacznie mniejszym zakresie. Mianowicie chciał być twórcą nowej Rosji, chciał być dobrodziejcą swego narodu, jęczącego od lat dwudziestu w niewoli kremlewskich zbirów. I do tej roli szereg lat przygotowywał się. Z myślą o niej szkolił i przywiązywał do swej osoby armię oraz pracował nad wychowaniem sobie jak największej ilości zdolnych, pewnych, zaufanych i gotowych na wszystko ludzi.

— Przyznać trzeba, że rezultaty jego wysiłków były wszędzie widoczne. Mimo swej mrokiwości i zamykania się w sobie, był wszędzie dość lubiany, a wśród chłopów nawet popularny. Wiedzieli oni, że interesuje się ich losem i że dba o ich synów, służących w armii.

— Nie danom jednak było Tuchaczewskiemu osiągnąć swoich celów. Został zdradzony przez któregoś z wtajemniczonych częściowo w jego plany. Mówię „częściowo“, bo całkowitych nikt zapewne nie znał. Kto go zdradził? — trudno powiedzieć. Są poszlaki, że zdrada wyszła z kół emigracyjnych. Szczególnie niedawne porwanie gen. von Millera i tajemnicze zniknięcie gen. Skobitina dają do myślenia, tym bardziej, że gen. Skobitina

Kolumna poezji

in Kasprowicz

Nie ma tu nic szczególnego

Nie ma tu nic szczególnego,
Żadnych tu dziwów świata:
Fundament z skalnych odłamów,
Z płazów świerkowych chat.
Przed chatą mały ogródek,
A w nim — o ludzie zmęczeni! —
Czuwa nad naszym spoczynkiem
Rząd pewnych siebie jasioni.
Rozłożył swoje korony —
O ludzie, nękami strachem! —
Nad zrębem naszego domu,
Nad domu naszego dachem...
Nie ma tu nic szczególnego...
Droga się snuje pod płotem —
Skąd ona i dokąd wiedzie,
Prawie nie myślę o tem...
Bo na cóż taka świadomość,
O ludzie, zbytnio ciekawil! —
Poranek zeszedł nad drogę,
Droga się w blaskach pławi!
Ach, dokąd wy tak śpieszycie,
O ludzie, tęsknotą gnani?
Tu las jest, tu potok szumi,
Wyzwolon — z głosnej otchłani.
Nie ma tu nic szczególnego...
Dzwon się odezwał z wieży,
W czerwcowych omzach południa

szedł czy nawet pośredniczył w nawiązywaniu
kontaktów marszałka Tuchaczewskiego z rosyjski-
mi kołami emigracyjnymi. Wprawdzie nie jest
wykazuje, że zdrada wyszła i z kół najbliższych
Tuchaczewskiego, pracujących w Rosji, na co
skazywały aresztowania takich osób, o których
niezależności do sprzyżenia kół emigracyjne
nie były, niemniej jednak przypuszczam,
emigracja nie pozostaje bez winy.

— Stalin i jego klika dowiedziawszy się o pla-
nach Tuchaczewskiego, popadli w przerażenie,
przez długi czas zastanawiali się nad tym, jak go
likwidować. Wreszcie rozpoczęli osłabiać jego po-
jęcie przez wyrwanie mu coraz to nowych współ-
pracowników. Zaczęły się liczne aresztowania win-
nych i niewinnych. Aresztowano i mnie. Męczono
nie i katowano w sposób straszliwy. Nie powie-
białem słowa. Wreszcie puszczono pod nadzorem
na wolność. Mimo aresztowań całego szeregu
współpracowników, Tuchaczewski niczym nie zdra-
dził się ze swego planu. Wierzył w swoją gwiazdę.
Niestety, zawiódł się. Zaczęto go spychać z zajmo-
wanych stanowisk i strzec pilnie. Na koniec are-
stowano, ogłoszono za zdrajcę i szpiega, osądzono
i zamordowano...

— Celowo oskarżono o zdradę stanu. Stalin
jego klika wiedzieli dobrze, że powiedzenie praw-
dy o przewinieniach Tuchaczewskiego — to zagiew
rozpalenia pożogi buntu przeciwko ich włada-
naniu. Uderzyli więc zręcznie w nutę patrio-
tyczną i wygrali partię. Wojsko nawet nie drgnę-
ło w obronie swego wodza. Zbyt długo wpajał mu
za zasady patriotyzmu i miłości ojczyzny oraz
porządzał wszelkie zdrady, aby nie miało się nimi
przejąć do tego stopnia, że gdy o tę potworność
oskarżono jego nauczyciela i przewodnika, natych-
miast odwróciło się od niego. Mógł więc Woroszy-
łow potępić w rozkazie marszałka Tuchaczewskiego
opuść jego honor w perfidny sposób. Wojsko w
to wierzyło, bo masa zawsze tylko będzie bez-
względnie masą.

— W taki to perfidny sposób Stalin i jego kli-
ka pozbyli się najgroźniejszego swego przeciwnika,
Michała Tuchaczewskiego, jedynego człowieka,
który zdołał być Rosję wyrwać ze współczesnej
niechęci i współczesnego upodlenia.

Tyle mój przyjaciel.
Opowiadanie jego o Tuchaczewskim podaje bez
żadnych komentarzy i zmian. Nie mam prawa wąt-
pić, że nie jest zgodne z prawdą. Przeciwnie, są-
dzę, że istotnie, tak, jak on mówi, wygląda prawda
o Tuchaczewskim, niedoszłym Napoleonie rosyj-
skim.

Łąka rozkwitła leży...
Pozbywa się moje serce —
O ludzie, żyjący nadzieją! —
Wszelakiej skazy, gdy widzę,
Jak trawy śmiać się umieją.
Niema tu nic szczególnego...
Bo jakież cud tu być może,
Gdzie w wieczór na górskich
szczytach
Zagwią się ognie boże.
Z „Księgi ubogich“

Czesław Grzegorski

Jesienny deszcz

Ciurkiem, ciurkiem leje z nieba,
czy go trza, czy nie trzeba,
zawsze — chłapie, pluska, mży,
już od kilku, kilku dni.
Kapie, kapie — deszcz jesienny,
zawsze wolny i niezmienny,
czy go trza — czy nie trzeba —
ciurkiem, ciurkiem leje z nieba!
Leci, leci z szarych chmur,
z poza borów, z poza gór!
Jesień worki z deszczem pruje
i na ziemię go zsypuje.
Lecą, lecą krople małe
ranki, dnie i noce całe!
Płacze, płacze pani Jesień,
że tam lato leży w grobie,
że słoneczko odleciało,
co tak w lecie przygrzewało...
Płacze, płacze pani Jesień,
że już zleciał miesiąc wrzesień,
że październik za plecami,
co się wnet przywita z nami...
Że się kończy babskie lato,
za to leje — leje za to.
Mży — mży — kapie, kapie — pada
cicho — szeptem opowiada
o jesieni piękne bajki.
a słuchają tego gaje,
ustrojone w perły małe;
pastusiatko, choć ospałe,
też się temu przysłuchuje —
słucha, słucha — a deszcz pada —
sypie, sypie, chłapie, chłapie, mży.
mży z nieba!
ciurkiem, ciurkiem — pomalutku —
równiusieńko, cichusieńko, — czy go
trza, czy nie trzeba —
ciurkiem, ciurkiem kapie z nieba.

Adam Asnyk

Cichych poświęceń

Co złość zniweczy, co występki zburzy,
To miłość z gruzów na powrót postawi.
Upadła ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,
Czyn poświęceń podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żorawi.
Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo
odwraca,
I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy
wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

B. Wieniawa-Długoszowski

Moja para

Konia z rzędem, gdy w świecie, taką parę
znajdziecie,
jak mój kasztan i moja kochanka!
On ma dużo krwi wschodniej, tony blask
bije od niej,
jak od zorzy różnego poranka.
Ona młoda — on młody — jednakowe ich
chody,
Mazur panny wart klusa kasztana,
Oczy mają ogniste, włosy mają
złociste --
Koń mój miły i moja kochana.
Nogi cienkie w pęcinach ma i koń i
dziewczyna,
Nie pochwałą takiemi się sarny,
Oboje swego chowu, oboje bez narowu,
Dziewczę ciche, a rumak jest karny.
Jednym tylko kochana bije w cuglach
kasztana,
W tyle został mój rumak skrzydlaty.
Na żołnierskie me gusta nie ma nic nad
jej usta,
Usta kraśne, jak moje rabaty,
Gdy jej usta wspomnę wiśnie, serce aż się
zachłysnie
I rozlewa się w żyłach ukropem —
Wówczas ułańską modłą muszę wskoczyć
na siodło,
By się upić szalonym galopem.

Ciekawostki staropolskie

Pierwszy Polak w Japonii

Od najdawniejszych czasów polskie tropy do
odległych krańców świata docierały. Również i na
Daleki Wschód już przed wiekami przenikali Po-
lacy, bądź jako jeńcy moskiewscy, wysłani na-
stępnie na podbój Syberii, bądź jako misjonarze.
Do dalekiej Japonii pierwszy Polak dotarł przed
300-tu bez mała laty.

Był nim jezuita, ksiądz Wojciech Maciński,
urodzony w końcu XVI-go wieku. W dziejach
misji dalekowschodnich piękną posiada on kartę.
Pochodząc z bogatej szlachty w Zamojszczyźnie, od
młodu czuł powołanie do stanu duchownego, ukoń-
czył szkoły jezuickie w Lublinie, a następnie stu-
diował medycynę w Akademii Jagiellońskiej. Umysł
lotny i dociekliwy dążył do pogłębienia wiedzy a
pragnienie służby Chrystusowej pobudzało go do
sposobienia się do pracy misjonarskiej. Wyrusza-
jąc do Rzymu, gdzie kształcił się przez trzy lata,
kończył nowicjat i, wróciwszy do Polski, pogłębia
jeszcze swą wiedzę filozoficzną. Głęboka wiedza
otwiera przed nim drogę do kariery i dostojenstw
— rezygnuje z nich, postanawiając poświęcić się
pracy misjonarskiej. Zapisuje swój cały majątek
jezuitom i opuszcza kraj.

Widzimy go znowu w Rzymie, skąd wyrusza
do Portugalii, a stamtąd w 1631 roku udaje się na
misję do Indyj. Po długiej podróży morskiej, któ-
re w tych czasach niemałej wymagały odwagi, do-
ciera ksiądz Maciński do brzegów Brazylii zaled-
wie. W 1633-im roku wypływa ponownie w
podróż do Indyj, docierając do Mozambiku. Od-
daje się pracy misjonarskiej, nawraca pogan na
wiarę Chrystusową, nadając im imiona polskie. Do
1635 r. przebywa w Malaborze, potem udaje się
do Malakki. W drodze do Makao pojmany zostaje
przez korsarzy holenderskich i przez kilka mie-
sięcy więziony jest na Formozie. Jego wiedza me-
dyczna ratuje mu życie — za wyleczenie syna wiel-
korządy holenderskiego odzyskuje wolność. Do
r. 1642 kl. Maciński prowadzi pracę misyjną w
Kochinchinie, Kambodży i w Manili, gdzie uczy się
języka japońskiego. W lipcu tegoż roku udaje się
do Japonii. Przeczuwa swą męczenną śmierć —
rozpisuje więc listy pożegnalne do kraju. Jakoż w
sierpniu na wyspie Saksum zostaje pojmany i pod-
dany torturom. Dnia 3. maja 1643 r. ginie śmier-
cią męczenną ten pierwszy Polak, który dotarł do
Japonii.

HETMAN CZARNIECKI — „bicz Boży”

Hołd Wielkiemu Wodzowi



Ciężkie czasy przeżywała Polska w dobie tak pięknie przez Sienkiewicza opisanego „Potopu”. Był to prawdziwy potop — cały kraj nalewały wojska wrogów, niemal wszyscy sąsiedzi pragnęli wykorzystać położenie. Zalewały kraj wojska szwedzkie, wschodnie połacie kraju wyczerpywała rebelia kozacka, od południa płał kraj Rakocy. Zdawało się, że kraj nie zdoła się już podźwignąć, że ulegnie wrogom. Zajęta została przez Szwedów środkowa część kraju, zajęli też i Kraków — król uchodząc musiał zagranicę. Ale w narodzie żyła wiara w zwycięstwo. Niestrudzonym bojownikiem był Stefan Czarniecki, co to „ani z soli, ani z roli wyrósł, lecz z tego, co go bolało” — z nieszczęścia kraju. Po całym więc kraju uganiał się za Szwedami, gnębił mniejsze oddziały i, choć Szwedzi stolicę zajęli, nie byli pewni ani dniem, ani nocą, czy nagle nie spadnie na nich niezłym „bicz Boży” — Czarniecki. Jego to zasługą było porwanie narodu do walki z najeźdźcami.

(Korespondencja własna)

Dzień 16. października 1937 roku w kronikach małego miasteczka Czarny (woj. kieleckie) stał się datą historyczną.

Była to druga bodajże w dziejach tej miejsciny tak wielka chwila. Pierwszą obwieściły narodziny Stefana Czarnieckiego, późniejszego wielkiego hetmana i jednego z największych w dziejach Polski wodza, drugim wydarzeniem były październikowe uroczystości w rodzinnym miasteczku Stefana Czarnieckiego, kiedy to Wielkiego Strażnika i obrońcy nietykalności granic Rzeczypospolitej prochy przemiesione zostały do nowego sarkofagu, ufundowanego przez społeczeństwo.

Sarkofag hetmana Czarnieckiego wykonany jest z czerwonego piaskowca, wydobytego z kopalni w Szydłowcu. Na sarkofagu znajduje się płaskorzeźba z brązu, dłuta artystki Zofii Trzcienieckiej-Kamińskiej, przedstawiająca hetmana Czarnieckiego na koniu z buławą w ręku. Tło postaci hetmana stanowi płynąca na morzu okręt — u góry herb Czarnieckich.

W uroczystościach w Czarny wziął również udział Marszałek Polski Edward Smigły-Rydz, oczywiście witany przez miejscową i tłumnie z odległych okolic przybyłą ludność.

Postać hetmana Czarnieckiego jest tak miłą sercu każdego Polaka, uwieczniona nie tylko w arcydziełach literatury polskiej, ale nawet w strofach hymnu narodowego, że warto przypomnieć niezłomną postać rycerza bez skazy, niestrudzonego bojownika o wielkość i potęgę Rzeczypospolitej, jednego ze sławnych w dziejach Polski rycerzy pracy i obowiązku.

Bezinteresowna służba dla powszechnego dobra, poświęcenie swego życia ciąglej walce z najeźdźcą o całość i bezpieczeństwo ojczyźnych granic, prawość charakteru i wysoko rozwinięte poczucie sprawiedliwości — oto cechy Wielkiego Hetmana, stawiające go w rzędzie najwybitniejszych postaci, jakie wydała nasza przebogata historia.

I jeszcze jedno zbliża Stefana Czarnieckiego. Rocznicą jego śmierci zbiegła się akurat ze zgonem Wskrzesiciela i Budowniczego Polski — Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Gdy pierwszy potężne Państwo Polskie wszelkimi siłami starał się utrzymać na należnym mu stanowisku, mając do zwalczania nacierające ze wszystkich stron wrogie siły, drugi — geniuszem swego umysłu odrodzoną Polskę wprowadził na drogę do mocarstwowości. Obie te postacie, jakkolwiek działające w różnych epokach, mają pewne cechy wspólne i to właśnie czyni bliskimi czyni i wiekopomne zasługi Hetmana.

Niemal bezpośrednio po ukończeniu nauki szkolnej zaciągnął się Czarniecki pod chorągwie hetmana wielkiego koronnego — Stanisława Konięcpolskiego.

Chrzest bojowy otrzymał w walkach z królem Gustawem Adolfem na terenie Prus. Odtąd całe życie przyszłego Wodza było — z małymi przerwami — nieustanną wojaczką, ciągłym zmaganiem się z licznymi wówczas nieprzyjaciółmi Ojczyzny.

W bitwie z kozacką pod Żółtymi Wodami dostaje się do tatarskiej niewoli, gdzie przebywał niemal dwa lata. Wypuszczony za okupem na wolność niestrudzony pułkownik Czarniecki odznacza się chlubnie w szeregu walk, jakie toczyła Rzeczypospolita na wschodnich rubieżach.

W walkach o miasteczko Monasterzyszcze otrzymuje postrzał w twarz z kozackiego samopalu. Kula wyrwa Czarnieckiemu całe podniebienie. Dzielny żołnierz musiał złożyć dowództwo i wrócić do domu, by leczyć swą ranę.

Głęboka blizna na twarzy i srebrna szczęka pozostały mu do końca życia, jako pamiątka bohaterskich czynów. Tragiczna sytuację przeżywała Rzeczpospolita w drugiej połowie XVII-ego stu-

lecia. Na wschodzie paliły się nieustannie granice państwa, z północy najazd szwedzki groził „potopem”.

Trudne zadanie miał hetman wojsk polskich. Ale najwspanialszą kartę z tych czasów stanowi bezsprzecznie wyprawa Stefana Czarnieckiego na pomoc Danii, zagrożonej ze strony sąsiadującej z nią Szwecji.

Przy forsowaniu wyspy Alsen wślawił się Czarniecki, przepływając się wpraw ze swą kawalerią przez dość szeroką cieśninę morską. Opisuje ją barwnie świetny kronikarz tych czasów Jan Chryzostom Pasek w swych pamiętnikach. „Po brawurze szarzy... powiadali więźniowie — mówi Pasek — żeśmy rozumieli na was, żeście diabły nie ludzie”...

Imię Czarnieckiego stało się głośne w całej Danii. Sama zaś wyprawa stanowi doniosły etap walki o dostęp do morza i o należny wpływ na Bałtyku, jako czynnika nieodzownego rozwoju gospodarczego polskiego państwa.

Jeszcze nie zdążył Czarniecki odpocząć w królestwie duńskim, a już Moskwa zagroziła z północnego — wschodu granicom kraju. Miał hetman wracać jak najprędzej na ratunek krajowi.

I tak wciąż bez wytchnienia i odpoczynku dzielny wódz bronił mocarstwowego stanowiska Rzeczypospolitej. Do późnej siwizny nie wypuścił z hetmańskiej ręki władzej buławę. W walkach z kozacką w 1665 roku ciężko ranny umiera w małym kresowym miasteczku Sokółówce.

Przed śmiercią żegna się czule z towarzyszami broni i swym wiernym koniem. Umiera, jak prosty żołnierz, z hetmańską twogą w sercu, kto po nim wrażliwym siłom będzie skutecznie stawiał opór.

Jeszcze przeżyła Polska parę chwil wspaniałych triumfów, by wreszcie, nie mając takich ludzi, jak Stefan Czarniecki, pójść pod rozkazy i władzę zabobczych narodów.

Z duchowej linii Wielkich Czarnieckich, z tych co to o sobie mawiali: „Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli”, wyrósł dopiero w bieżącym stuleciu Człowiek, kontynuator polskiej mocarstwowości.

Leon Wróblewski.

Krzysztof Arciszewski — bohater dwóch ko

Sława Krzysztofa Arciszewskiego w pierwszej połowie 17-go wieku, kiedy kształtowała się Europa i wylaniała Ameryka, świeciła niczym gwiazda pierwszej wielkości. Dziś jest znany raczej jako holenderski admirał, niż „starszy nad armatą koronną”, który wojsko polskie w przeddzień wojen kozackich uzbroił, umocnił i ocalił. Imię jego i czyny byłyby poszły w niepamięć, gdyby historycy nie zwrócili uwagi na wykopalisko — medal pamiątkowy — wybitny w Amsterdamie w r. 1637 na cześć wielkiego Polaka, z polem bitwy, orzechem nad herbami Portugalii i napisem „Odbierz laur zwycięstwa — Hiszpan, nieprzyjaciel porażony” oraz „Rycerzowi szlachetnością urodzenia, wojennej i innych nauk — biegłością najznakomitszemu, Krzysztofowi Arciszewskiemu na pamiątkę dzieł w Brazylii przez lat trzy, z osobliwą roztropnością, męstwem i szczęśliwością wykonanym, towarzystwo amerykańskie swej wdzięczności, jego męstwa dowód ten zostawić chciało”.

Trzy wieki mijają właśnie, gdy bito na jego cześć medale, drukowano pochwalne opisy jego wypraw do Brazylii, on zaś sam w swej pieśni dziękczynnej tak świadczył:

Chwała bądź Bogu!
Nie odchodziłem,
Zamku, ostrogu
Gdziekolwiek byłem,
Amerykańskiego,
Niedobytego.

Trzy wieki mijają i oto znów staje przed nami postać wojownika, groźna i nieugięta, wykuta jakby ze spiżu armatniego, obywatela o sercu tak wielkim, że wszystkich krzywd zapomniał, a powrócił do służby polskiej, której musiał się wyrzec w młodości.

Był bowiem banką. Dopusił się wraz z bratem zamosadu na palestrancie, który podstępem i łobuzostwem zagarnął majątek ich ojca. Było to po powrocie z wypraw wojennych, odbytych u boku Krzysztofa Redziwiłła przeciwko Tatarom i Szwedom, po bitwie pod Mitawą.

Radziwiłł, dla osłony Arciszewskich, wysłał ich w misję polityczną do Holandii. Od 1662 r. Krzy-

sztofowi lata upływały na wygnaniu, w podróży po Holandii, Włoszech, Anglii, Szkocji, gdzie uczył się inżynierii, fortyfikacji, minierstwa i nawigacji. W Paryżu był przyjmowany przez Ludwika XIII-ego, Zygmunt III-ci, panujący wówczas w Polsce, ścisłał Arciszewskiego swoją zemstą: względy religijne również wchodziły w grę — Arciszewski był „socyjańskiego wyznania”. Walczył jednak i z katolikami przeciw — Hugonotom pod Kosselą. Następnie zaciągnął się w służbę holenderskiej kompanii Indii Zachodnich, utworzonej do celu odebrania Portugalii ziem brazylijskich.



Szkuner harcerzy polskich „ZAWISZA CZARNY” (rysunek piórkowy)

Rudolf Blaumanis

Tłumaczyła Wanda Ichnatowiczówna

Przymrozek na wiosnę

(Dokończenie)

— „Ach, po co Ty tyle się pytasz, przecież wiesz dobrze, że za nikogo innego nie pójdę. Lecz, gdy ją puścił, wykrzyknęła jednak: „Ach, ty wilkołaku!” — po czym pochwyliła puste naczynia i ścierkę i pośpieszyła przez pole do domu.

Oddawszy konikowi pozostały kawałek chleba Andrzej odprowadził znowu Helenę oczyma, póki szara spódniczka, ciemnoróżowa bluzka i w końcu jasnoróżowa chusteczka nie zniknęły za górą.

Wówczas wyciągnął ręce, jakby prostując się. Ach... Co za życie! Co za szczęście! Co za piękna pogoda... Co za szczęście! Co za szczęście!

— „Mój kwiecie!”

I, pogwizdując, jął się znowu pługą.

Jednocześnie z Heleną, tylko z innej strony, w podwórzu Wanagów wkroczył Małniek, długi suchy starzec, którego domy można było dojrzeć z obejścia Wanagów: — stały w dolinie przy brzeźniaku między dębami i jabłoniami.

Starannie ubrany Małniek powitał dziewczynę jakimś szczególnym głosem, rzucił jej dziwne spojrzenie i wszedł do chaty.

Helena położyła naczynie i ścierkę i zaczęła krzątać się po kuchni, pomyślawszy przy tym, że Małniek w ostatnim czasie za często jak na swój wiek wchodzi na górę Wanagów.

Nagle do kuchni wszedł gospodarz.

Był rozgrzany i tak jakby trochę przerażony.

— „Co ty na to, Heleno,” wyrzucił przedko „ten stary — Małniek do ciebie przyszedł.”

— „Co, co?” zapytała dziewczyna z rozrządzeniem.

— „Małniek chce z tobą pomówić.”

— „Widzisz przecież, że nie mam czasu. Niech idzie do kuchni.”

— „On przyszedł, rozumiesz, bo... chce się żenić.”

— „Żenić się?”

Helena oparła się o piec. Jej rumiane policzki zbladły nagle, dopiero po chwili dodała: — „To nie może być.”

— „Idź, porozmawiaj,” powiedział Wanag i zmarszczył się widząc zmianę w Helenie.

— „Ach, Boże!” — wykrzyknęła. — „Co mam z nim omawiać! Czy on niespełna rozumu! Ach Boże, Boże!” i zaczęła ze wstydu się śmiać.

— „Chodź, chodź,” naglił gospodarz nieco surowszym głosem. W śmiechu Heleny było coś, co go zabolalo.

— „Kiedy nie wiem, co mam mówić! Wstyd mi! Taki stary! Co też on sobie myśli! Wariactwo, naprawdę wariactwo! Boże, Boże!” I znowu się zaśmiała, a myśli przebiegały bezładnie przez jej głowę... Siedmdziesiąt dwa lata... Wdowiec... Dom wyplacony... Dzieci nie ma... Do użytku gospodarzy cztery pokoje i szklana weranda... Po trzech, czterech latach stary umrze... może po roku... I do tego jeszcze pieniądze... I ogród owocowy... i śliwy, i wiśnie, i pnące winorośli po słonecznej

stronie domu, a stary może za pół roku umrze... Boże, Boże! A Andrzej?...

— „Powie, że przyjdiesz” powiedział zimno Wanag i opuścił kuchnię.

Z głośno bijącym się sercem pośpiesznie umyła ręce, zwilżyła twarz, chociaż rano przecież się myła, i utarła się starannie. Wtedy wyszła do izby czeladnej i usadowiła się na swoim łóżku. Była zupełnie zbita z tropu. Za tego starca nie powinna przecież wychodzić. Nie, nie, co na to powie Andrzej, co cały świat?... Lecz dać kosza takiemu bogaczowi, która dziewczyna uczyniłaby to?

Gdybym miała kogoś, kto poradziłby — rozmyślała, gdyby ktoś mógł powiedzieć, jak długo ta bestia pociągnie? Dwa lata, trzy lata? Więcej niż cztery przecież chyba nie. Siedmdziesiąt sześć... To już starość zupełna. Czy Andrzej tak długo będzie czekał? Nie, nie! Małniek nie pociągnie tak długo. Rzadko kto tak długo żyje. Ale któż może wiedzieć? To starej daty człowiek... trwałego gatunku. Jeżeli dożyje do osiemdziesięciu? No to można będzie — — fe, jakie myśli... niech więc sobie idzie, skąd przyszedł, gdy nie można przewidzieć kiedy umrze.

Helena chciała powstać i wybiec z izby, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa — siedziała w dalszym ciągu. Siedziała tak i siedziała, to rumieniła się, to drżąc, póki nie otwarły się drzwi od mieszkania gospodarza i Wanag nie powiedział: — Wchodź — że.

— „Właśnie nie wiem, iść czy nie iść?”

— „Czego się boisz? Od razu cię przecież z sobą nie weźmie.”

Dziewczyna podniosła się, z wolna przeszła przez izbę i zniknęła za drzwiami mieszkania gospodarza.

Z głęboką brzdą między oczyma spojrział Wanag w jej ślady. Zatracone, przeklecie bogactwo! Wyszedł z chaty i chodził niespokojnie po podwórku. Czy ona naprawdę będzie tak niemądra?

W izbie Helena zatrzymała się przy drzwiach, nie śmiejąc podnieść oczu. Zalaowała, że w ogóle weszła. Tak się wstydziła, że chciałaby choć w ziemię się zapaść.

Zachowanie się Małnieka było zupełnie odmienne. Ze spokojnym upodobaniem popatrzył na rumieńce Heleny, skinął głową, jakby przyznając rację czemuś pomyślanemu przed tym i gładził w dalszym ciągu kolano suchą, kościstą ręką.

— „Chodź-no bliżej” — powiedział wreszcie i wskazał krzesło.

— „Gospodarz ci pewno powiedział z czym przyszedłem?”

Czekał odpowiedzi, ale Helena nie poruszyła się i nie wymówiła ani słowa.

— „Miałem zaraz po śmierci swojej drugiej żony ożenić się po raz trzeci” — ciągnął Małniek. — „Przyzwyczajony jestem, że pielęgnują mnie kobiece ręce. Bez tego trudno wytrzymać. Ale doład nie znalazłem takiej, któraby mi odpowiadała. Tak, to młoda, to latawiec, stara zaś za leniwa, a wszystkie jednakowo mają za mało sprytu i rozumu, żeby rządzić wielkim gospodarstwem. Moje obie zmarłe żony były mądre i pojętne gospodynie, takiej też znowu teraz szukam. Drugi już rok obserwuję ciebie i widzę, że nie jesteś taka, jak inne dziewczyny. W tobie przejawia się duch gospodyni. Gdy nie widziałem tego wcale, obserwowałem ciebie i oceniałem twoje zalety. Na pastwisku nie wyzywasz bydła, jak czynią moje dziewczyny i wasi mali i duzi pastuszkowie. Bydło wprawdzie nie jest czułe na brzydkie przewiski ani na miłe słowska. To mu wszystko jedno. Lecz z takich wrażeń można coś niecoś wnioskować o danym człowieku. Wiem, że panujesz nie tylko nad swoim językiem, panujesz także nad ręką. Nie mam jedynie bicia na myśli. Opanowujesz swoje ręce także w innych rzeczach. Sól jest tanim produktem, ale czy z tej racji przesolilibyś kiedy kaszę? Woda nie kosztuje nic, ale czy dlatego rozczyn chleba zrobiłabyś za rzadki? Dla innych dziewcząt to glupstwo, jak wypadnie, tak dobrze. Ty nie spuszczasz się na los, ty czynisz wszystko świadomie. To wskazuje na żyłkę gospodarską. Co też ty myślisz o Małniekach? Czy pójdziesz do mnie za gospodynię?”

Zrezygnuj niż przy pomocy tych własnych słów nie mógł utorować stary Helenie drogi do Małnieków. Poczuli się zaszczyconą tą niespodziewaną pochwałą i jej zażenowanie mijało. Przecież już jakie osiem lat jest wdowcem, osiem lat więcej szukał naprzóżno, nim znalazł i wybrał. To był zaszczyt.

— „No, co ty na to?”

— „Nie wiem, nie namyślałam się jeszcze,” odpowiedziała Helena nieśmiało.

— „Po co dużo myśleć. Rzecz jasna. Jestem stary mężczyzna, potrzebujący pielęgniarstwa. To jedno. Małnieki potrzebują roztropnej gospodyni. To drugie. Za te dwa... dwa... jak to powiedzieć... obowiązki po trzech, czterech latach odziedziczysz Małnieki. Mój ojciec umarł, mając lat sześćdziesiąt dziewięć, dziad zaś w siedmdziesiąt trzecim roku. Na mnie też już czas i należałoby raczej myśleć o trumnie, niż o... Lecz cóż poradzę! Mam taką słabostkę — nie mogę znieść myśli, że w Małniekach, póki mam oczy otwarte, nie panuje porządek. Próbowałem i tak i inaczej. Lecz płacę ile tylko chcę — cudze ręce zostają cudzymi. Widzisz, dla tego chcę znowu się ożenić. Jasno ci tę rzecz wyłożyłem. Będziemy żyli jak ojciec z córką, jak dziecko z ojcem. Na co ci długie namyślanie się potrzebnę? Chodź, daj rękę i powiedz, że „tak”.

Małniek mówił tak rozsądnie, głos je-

Miejska Państwowa Polska Szkoła Wieczorowa

w Rydze

uprzejmie zaprasza
Szanownych Rodaków
na doroczny programowy

wieczorek szkolny

w dniu 20. listopada b. r. w lokalu I-szej
miejskiej lotewskiej szkoły podstawowej
(przy bulwarze Kalfaka 8).

Po programie — ZABAWA TANECZNA

AWANGARDA KOLUMNĄ MŁODYCH

Kronika życia bieżącego

Ryga

OTWARCIE SEZONU Teatru Polskiego w Rydze odbyło się 17. b. m. w przepelnionej sali Domu Polskiego.

Pod reżyserią S. Jarskiego wystawiono 3-aktową kom. Bałuckiego pt. „Radcy pana radcy”. Obzerniejszą recenzję z tego pierwszego — od dłuższego czasu — przedstawienia Teatru Polskiego podamy w następnym numerze. (m)

DOROCZNY WIECZÓR państwowego gimnazjum polskiego w Rydze odbył się 13. b. m. W obzernym programie na specjalne wyróżnienie zasługuje chór gimnazjalny, w którym biorą udział prawie wszyscy uczniowie i uczniowie gimnazjum, prezentujący się dobrze zarówno zewnętrznie (wszyscy w mundurkach szkolnych), jak pod względem materiału głosowego i wykonania. Chór prowadzi p. Karol Izart. Poza produkcjami chóru na program złożony się: deklamacja (deklamowali: Leopold Sieliszko, Józefa Jacińska, Zygmunt Wesser, Waleria Klejnowna), skrzypce (Zygmunt Oot, Ch. Weryk), fortepian (Halina Bluwasówna, Wanda Ingelewiczówna, Aldona Jurszanka), tańce (krakowiak i tarantella) oraz ćwiczenia gimnastyczne na sali.

Publiczności na wieczorku dużo. M. in. wieczór zaszczytliwi swą obecnością poseł R. P. w Łotwie minister Franciszek Charwat z Małżonką, konsul R. P. Stefan Ryniewicz z Małżonką oraz przedstawiciel wojskowy mjr. Feliks Brzeskwiński z Małżonką. (m. m.)

Daugawpils

ZABAWA JAKICH WIELE. Kolejny wieczór taneczny filii Daugawpilskiej ZPM odbiegał od szablonu przez uzupełnienie tego rodzaju imprezy programem lżejszego repertuaru. — Mianowicie: orkiestra strunna filii pod batutą p. Rakowskiego wystąpiła z małym koncertem, wykonując kilka utworów muzycznych. Występ orkiestry został przyjęty ogólnym uznaniem. Następnie pokazano 4 żywe obrazy, mające symbolizować wschód, zachód, południe i północ. Niewątpliwie obrazy te nabrałyby większej plastyki i wyrazistości, gdyby zostały uzupełnione akompaniamentem muzycznym. Na zakończenie został przedstawiony obrazek rodzajowy ze śpiewem i tańcem baletowym. Konferansje udalnie prowadził p. Leonowicz.

Niestety, program był demonstrowany wobec niemal zupełnie pustej sali, gdyż młodzież, przedkładając zabawę nad widowisko, przybyła z opóźnieniem, a starsi nie zdradzili najmniejszego zainteresowania imprezą i nie przybyli wcale. Impreza miała na celu przede wszystkim zasilenie kasy filii. Zdawało się, że starsze społeczeństwo, które przecież nie przychodzi na wieczorki taneczne, mogłoby zaznaczyć swoją obecność na tego rodzaju imprezie uzupełnionej programem: przypuszczenie okazało się jednak zupełnie zawodne.

Mimowoli nasuwają się nieprzyjemne pytania: czy tylko przed sprzedaż biletów przyjmowana jako prawdziwa plaga i nieusprawiedliwione natręctwo może zapewnić obecność kilkunastu starszych panów i pań na wieczorku? Czy istotnie nikt ze starszych nie interesuje się tym, jak się młodzież bawi i czym zabawia innych?

Muzyka grała do tańca aż zapiał kur. Panie z sekcji kobiecej pełniły rolę skrętnych i uprzejmych gospodyń w urządzonym przez siebie „słodkim bufecie”. (s. z.)

Rezekne

ZADUSZKI. 85. polska drużyna żeńska ŁGCO w sobotę 6-go b. m. udała się ze świeczkami na cmentarz.

Od bramy cmentarnej skręciły w zakątek najbardziej opuszczony i nie odwiedzany. Leża tam szeregami żołnierze-katolicy, polegli w czasie wojny światowej. Są też i Polacy. Obok — na cmentarzu luterzańskim — też szeregami leżą żołnierze. Ale jakż odmienny tam się przedstawia widok! U luteranów krzyże nowiutkie, dróżki wygracowane, mogiły obłożone darnią i zasadzone kwiatami. U katolików — spróchniałe krzyże, zapadnięte mogiły zeszlami pokryte badylami.

85. polska drużyna żeńska ŁGCO w Rezekne urządza

20-go listopada r. b. w lokalu Polskiej Szkoły Podstawowej w Rezekne (Atbrivsozanas al. 36)

wieczór programowy

Początek o godz. 18.

Do tych opuszczonych przyszły — harcerki. Każdy zastęp wybrał sobie mogiłę, którą postanowił specjalnie się opiekować, podnosząc równocześnie inne przynajmniej do możliwego stanu.

Przyniosły ze sobą grabie i łopaty — wzięły się do roboty.

O zmroku zapaliły świeczki i odśpiewały kilka pieśni.

Gdy odeszły — z daleka jeszcze żegnały je blaski zapalonych świec... (wt)

WIECZÓR W ZPM. W niedzielę 7-go b. m. staraniem zarządu filii Rezekneńskiej ZPM odbyła się we własnym lokalu otwarta zabawa taneczna.

W świetle różnobarwnych lampionów tańczono ochoczo do późna. (a)

ODCZYT P. BOLESŁAWA GOŁUBCA z Rygi na temat: „Rocznice listopadowe” zgłoszony został przez ZPM na niedzielę 21. b. m.

Łudza

„ROCNICE LISTOPADOWE” odczyt red. M. Miż-Miszyna zgłoszony został przez ZPM w Łudzie na niedzielę 21. b. m.

go brzmiał tak przekonywująco, że Helene coś pchało iść i podać rękę. Andrzej mógł przecież czekać. Mógł zaczekać na taki dom trzy, cztery lata. A dłużej Małniek nie pociągnie, sam tak przecież twierdzi, a mówił to, co czuł. Dwulicowym Małniek nie był. Helena podniosła głowę i drgnęła. Tam przy stoliku siedział siwy człowiek, z łysiną po środku głowy, z cienkimi białymi włosami, przerzedzoną długą siwą brodą, pomarszczoną twarzą i jakby pływającymi w tłuszczy oczyma. Usta jego były blade, za nimi widziało się zęby długie, poczerńiałe, skrzywione. Wstręt opanował Helene. Być żoną tego starca?! Nigdy!... A dom! A dom i bogactwo i wolne, łatwe życie!.. Ach..

— „Pójdź-że, podaj rękę i wyrzec to „tak”.

— „Ja nie wiem, nie wiem... My chyba nie odpowiadamy sobie”...

— „Dlaczego? Tego nie mów. Jestem człowiekiem spokojnym, a i ty nie jesteś krynabna? Przecież nie dasz mi kosza? Gdybyś to był przewidział, to... to... właściwie mam jeszcze jedną dziewczynę na widoku. Tamta jest jeszcze młodsza od ciebie i tak mi nie odpowiada, jak ty i w ogóle nie podoba mi się tyle, co ty. Ta by się zgodziła — wiem to napewno. Mogę ci ją nazwać. Jest to młodsza córka Staklów.

Czy od ciebie mam się zwrócić do niej? Przecież mi tego wstydu nie zrobisz?”

— „Odejdź” — chciała mu powiedzieć Helena, ale język się nie poruszył. W gardle jej zaschło. Młodsza córka Staklów. Była o dwa lata, od niej młodsza, ładna dziewczyna, przy tym bogata córka gospodarska. I chciała wyjść za Małnieka? Po co córce Staklów ma ustępować świętego losu, który się do niej właśnie uśmiecha? Co powiedzą ludzie, gdy się dowiedzą, że takie szczęście odrzuciła od siebie? Może w ogóle nie uwierzą, że Małniek się jej oświadczył? Helena znowu opuściła głowę, i zagryzłszy dolną wargę, medytowała nad tym, jakaby też odpowiedź miała być najlepszą.

Chwilę pomilczawszy Małniek ciągnął dalej:

— „Wstydlivość twoją rozumiem bardzo dobrze. Kiedy myślałaś o zamążpójściu, zawsze ci stawali przed oczyma młodzi mężczyźni. I nagle zamiast nich zjawia się taki stary grat, jak ja. Nastraszyło to ciebie, jesteś coś jakby... tak jakby... zawiedziona, a serce krzyczy: „nie i nie!” Ale nie można zawsze ulegać głosowi serca. Pomyśl dobrze, co odrzucasz od siebie. Ja mam dom, za który mi dają dwanaście tysięcy bez targu. Dzieścię tysięcy gotówką mam złożone na procenty. Zaoszczędziłem je jeszcze w tym

czasie, gdy handlowałem drzewem. Co roku mój majątek wzrasta najmniej o pięćset rubli. Z wyjątkiem jednego tysiąca, który przeznaczyłem swemu jedynemu chrześtnemu synowi, zapiszę ci wszystko w testamencie jeszcze przed ślubem. To jest dla nas, chłopów, wielkie bogactwo. Nie pysznię się tym, ale co jest, to jest. Wiadomo, miłość nawet za drugie tyle nabyć nie można. Ale uprzejma twarz i łagodne ręce dla starych kości... myślę, że za to cztery, pięć tysięcy w rok dość. Gospodarowanie w Małniekach oplaca się osobno.”

Wymawiając te słowa, Małniek powstał i zbliżył się do Heleny, która, jakby bezsilna, siedziała oparta o ścianę. Dzieścię i dwanaście tysięcy? Co za ogromny pieniąż! Nikt nie uważał Małnieka za tak zamożnego. I z tym bogactwem kilka lat można czynić co się chce! Krew rzuciła się do głowy Helenie i nagle spostrzegła się, że Małniek jej rękę trzymał w swojej. Czy ona mu ją sama podała, czy też Małniek niespodziewanie ją ujął — nie wiedziała tego, opamiętała się już wtedy, gdy powiedział:

— „Jesteś rozsądna dziewczyna, nie pożałujesz tego.” I zobaczyła, że jest sama w pokoju.

Jak automat podeszła do stołu, opadła na krzesło, na którym przed chwilą sie-

Z. Gloger **Wróżby starodawne**

Stara to sprawa, jak świat, a przynajmniej, jak ludzkość — odgadywanie przyszłości, wróżenie o przyszłych losach swego życia. Już dawni Rzymianie, zakreśliwszy koło na piasku i położywszy na jego obwodzie tyle ziarn zboża, ile mieli liter alfabetu, puszczała na środek koguta i czynili wróżby z liter ziarn, które kolejno fykał kogut. Tego rodzaju wróżbiarstwo nazywano nawet **alektryomancja** (z greckiego: alektor — kogut i manteja — wróżba).

W domowym obyczaju polskim główną rolę miały wróżby **zamażpójścia i ożenku**, czynione w dniach do tego uprzywilejowanych, których było pięć w ciągu roku. A mianowicie: w listopadzie wróża sobie **młodzieńcy** w wigilię św. Katarzyny, a **dziewczęta** w wigilię św. Andrzeja. Później przy stole wigilijnym bawią się **wróżbami** obie płcie, a w przeddzień Nowego Roku i św. Jana Chrzyciela głównie tylko **dziewczęta**. Dlaczego obrano powyższe dni na wróżby, da się poniekąd wytłumaczyć tym, że każda przepowiednia doroczna musi stać w związku z początkiem jakiegś doby rocznej. Do takich chwil należy właśnie początek Adwentu, jako zaczęcie nowego roku kościelnego. Wigilia Bożego Narodzenia i Nowy Rok, jako początki roku w erze chrześcijańskiej i kalendarzowej, wreszcie wigilia świętego Jana, następująca zaraz po przesileniu dnia z nocą, która w pojęciu pierwotnych kończyła i rozpoczynała rok słoneczny.

Mylnie sądzą dziś niektórzy, że wróżby przedostawały się spod strzech kmiecych do dworów szlacheckich. Pierwotny obyczaj narodowy nie znał podziału na żadne kasty bo był wspólny całemu narodowi, a tylko zależał od okoliczności, w jakich pozostawały rodziny, osoby i ich domy. Np. nie mogła sobie wróżyc dziewczyna o imieniu męża z kartek pisanych, jeżeli pisać, ani czytać nie umiała, więc poprzestawała na wróżbach ze szczekania

psów, palenia lnu itp. Szlachcianki i mieszczanki, które miały większą łatwość dostania ołowiu, niż lud wiejski, (nader ubogi dawniej we wszystkie kruszce), niewątpliwie stokroć częściej wróżyły ołowiem, niż córki kmieci i komornic. Toteż napewno twierdzić można, że tak we wróżbach jak i innych zwyczajach domowych, obyczaj narodowy, kwitnący w domach ziemian, t. j. tak szlachty, jak i zamożniejszych kmieci, naśladowany był zawsze przez czeladź dworską, z całego świata zbieraną, która, osadzana na roli, stawała się najczęściej zawiązkami wiosek, zakładanych przy dworach.

Przed św. Katarzyną chłopcy ucinali gałązki wiśni i zasadzali je w donice, pielęgnując troskliwie, bo czyja zakwitła przed Bożym Narodzeniem lub Nowym Rokiem, ten będzie szczęśliwym w ożenku. W dzień św. Andrzeja dziewczęta, przyszedłszy rano po wodę do studni, zaglądały do niej w nadziei, że zobaczą męża w zwierciadle wody. Wieczorem stanąwszy przy węgle domu swego, nasłuchują, z której strony pies zaszczeka, gdyż z tej okolicy kawaler przybędzie. Albo też podsluchują pod oknami pierwsze słowa. Gdy podchwycą np. takie: „pójdź, zrób, przynieś”, biorą z tego wróżbę zamażpójścia w ciągu roku. Słowa: „siedź, nie bierz” itd. złe dziewczynie rokuja.

Na Kujawach rozpowszechniona jest wróżba z gąsiorem. Stawiają tam dziewczęta w koło, wzięwszy się z ręce, i do środka puszczają gąsiora z zawiązanymi oczyma. Do której ten gąsior najpierw się zbliży, ta najpierw pójdzie za męża. W takim też celu w różnych okolicach przywołują i psa, z tą różnicą, że każda z dziewcząt kładzie swój kęs chleba okraszonego tłuszczem, lub kość z nogi wołowej, a z porządku kolejnego, w jakim pies pochwyta te przysmaki, wróżą kolejne zamażpójście. Tak samo wróży i

kogut puszczonej między ziarna pszenicy. Wybiegają też na podwórko, gdzie każda nabiera wiórow zapaskę, potem liczą te wioły, a która przyniosła liczbę parzystą, ta w przeciągu roku za męża pójdzie. Mierz trzewikiem od ściany drzwiom przeciwległej aż do progu. Którę trzewik wypadnie na próg noskiem, dobra wróżba, której pięta, ta pozostanie w domu rok cały. Jeżeli dziewczyna w przeddzień św. Andrzeja własną ręką przyniesie drewek, roznieci ogień, przyrządzi wieczerzę z trzech dań jarzynowych, nakryje na dwie osoby, tak żeby nikt nie dotknął się niczego i, wyszedłszy na środek, zawoła: „W imię Ojca, Syna i Ducha św. proszę ciebie na wieczerzę, amen”, to mniemają, że ukaże się postać przyszłego jej męża, który obejdzie trzykrotnie dookoła stół i zniknie. Potrzeba jednak, aby nikt nie był tego świadkiem i żeby na stole nie leżał nóż, widelec, ani żadne ostre narzędzie, bo może przebić nim czarodziejkę. Indziej w wigilię św. Andrzeja kładą pod misy i talerze gałązkę ruty lub kwiatek, koronkę do pacierzy i kawałek rabka. Gdy dziewczyna wyciągnie rutę lub kwiatek, jeszcze przez rok będzie „rutkę siała”, jeżeli koronkę, to zostanie zakonnica, a jeżeli rabek, to mężatka. Wróżby te naśladowane przez lud, z życia dworów, zapomniane potem pod dworach, przechowały się jeszcze pod słomianą strzechą ludu.

Na talerzykach ulepionych z wosku, umieszczone kawałki stoczka i zapalone puszczają w dużym naczyniu na wodę z lekką poruszaną. Z tego, czy świeczki, przedstawiające kawalera i pannę, zbliżą się do siebie i zetkną lub oddalą, wróżą sobie na przyszłe ich życie. Leją także roztopiony w łyżce wosk na wodę i wróżą z kształtów krzepnącego wosku, czy dziewczyna spotka na drodze swego życia: rycerza — t. j. męża, czy krzyż t. j. klasztor, czy trumnę t. j. grób, czy gałązkę ruty, kwiatek lub wianek, t. j. dalsze panieństwo. Zwyczaj ten dawny uroczony został przedstawiony w „Straszonym Dworze” Moniuszki.

dział konkurent i oparła głowę na rękach. Czy to istotnie było prawdą? Ona obiecała związać swe życie z tak starym mężczyzną? Nie, niel. To było niemożliwe, uroiło jej się, duże sumy ją bogactwa? Więc wyrzec się tak dużego bogactwa? Ach, nie — to też niemożliwe... A jednak, jednak trzeba się rzec...

Skrzypnęła klamka u drzwi, Helena wskoczyła z miejsca, odwróciła się. Był to Wanag, który z chłodnym, napoły drwiącym, napoły pogardliwym uśmiechem spojrzął na dziewczynę, poczem zbliżył się do niej i podał rękę.

— „Słyszysz... słyszałem przed chwilą taką... bardzo radosną nowinę. Tak, tak. Heleno, kłoby to myślał. Co za szczęście... tak wielkie, że na życzenia pomyślności w ogóle nie ma już miejsca.”

W jego słowach brzmiały takie drwiny i pogarda, że zadrasnęło to wzburzone uczucia Heleny. Jak on śmiał tak się do niej odzywać? Przecież nie jest jej winą, że Malniek prosił ją o rękę. Czy to jest hańba, że z nią się ktoś żeni? Dlaczego Wanag z niej drwi? Czy nie dlatego, że ona była prostą chłopką, ubogą służącą?... I z nieprzewidywaną siłą opanowała ją chęć wybrnięcia z tego położenia, wznieśienia się ponad innych, wślawienia się w całej gminie, w całym powiecie i ogładania Wanaga nisko u swoich stóp. To-

też z takim samym uśmiechem i z takim chłodem w głosie, z jakim przemawiał Wanag, odpowiadała:

— „Tak, dopisało mi szczęście. I będę teraz dziesięć lub piętnaście razy bogatsza, niż Wanagowa.”

— „A jakże, a jakże! I przy boku męża dziesięć lub piętnaście razy starszego,” — odrzucił Wanag.

— „Ah, to ty nie wiesz, że lepiej jest pod brodą starego męża, niż pod biczem młodego chłopca!” — Odejęła Helena i skierowała się ku drzwiom. Te się właśnie otworzyły i wszedł Malniek.

— „Chłopak z koszem już w drodze”, powiedział wesoło i dodał, że przewidując dobre zakończenie, przygotował w koszu parę butelek wina i polecił chłopcu wyleźć do znaku z podwórza Wanagów. Właśnie powiał chusteczką i chłopiec niósł już kosz na górę.

— „Wypijemv no kieliszku za zdrowie przyszłej gospodyni.”

— „Nie wiem, czy to w ogóle potrzebne,” powiedziała Helena cicho.

— „Potrzebne, potrzebne,” — odrzekł stary i prosił Wanaga, żeby ten przygotował kieliszki.

Wanag nie posiadał kieliszków do wina więc wyjął i postawił na stole mały, gruby kieliszek od wódki.

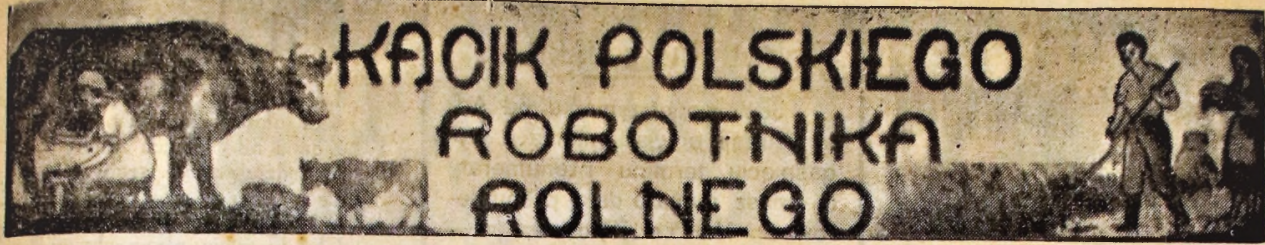
— „Co z tym pocznijemy!” wykrzyknął

Malniek śmiejąc się. — „Przec z tym, dawaj, sąsiedzie, szklanki do herbaty.” Wanag wyjął z szafki szklanki, a wkrótce po tym koszyk z winem już był na miejscu.

Helena pierwszy raz w życiu brała w usta dobre wino. Skosztowała go z namysłem i, stwierdzając, że jest dobrze, lekko odważniej. Potem, zachęcona przez Malnieka — jeszcze i jeszcze, aż uczuła, że dziwne i przyjemne ciepło rozlało się po całym ciele. Ułożyła się w niejłość na Wanaga, znikł niepokój z serca... Już jej się nie wydawało niesłusznym to, co uczyniła. Podeszła do okna, z którego można było dostrzec Malnieki, napawała oczy pięknym obrazem, co się w dole rozciągało. Jak tam czerwone dachówki domu mieszkalnego i śpiżnia wydzielały się wśród zieleni bujnych drzew, jak w gaju biała kora błyszczała i wijąca się wąska rzeczka polyskiwała! Serce Heleny napelniało się dumną radością. Tam będzie już ona mogła rozporządzać jak będzie chciała, zupełnie według swego upodobania, bo to wszystko będzie należało do niej. Kto by coś podobnego wymarzył!

— „A innym domownikom nie zaproponujesz po szklance?” zapytał Malniek, podchodząc do Heleny. — „Wina jest jeszcze dosyć.”

— „Owszem, odpowiedziała dziewczyna, „przedtem nikogo w izbie nie było.”



Głos mają polscy robotnicy rolni

APEL DO POLSKICH ROBOTNIKÓW SEZONOWYCH W LOTWIE

RODACY!

Za kilka tygodni opuszczamy granice naszej pracodawczyń — Lotwy — i wracamy do naszej Matki — Ojczyzny. Wracamy wszyscy mądrzejsi: widzieliśmy życie obcych ludzi, ich postępowanie pracowitość, kulturę itd. Starajmy się co mądre wcielić w nasze życie tam — na własnej zagrodzie. Zdobyliśmy trochę oświaty z tego jedyne go ośrodka, którym jest nasze ukochane pismo „Nasze Życie”. Ono to było dla nas skarbnicą wiedzy, gdzie — za drobny grosz — mogliśmy dużo czerpać. Miło nam będzie, gdy na granicy będą

kontrolowali nasze walizki a będą one przepelnione polską wychodzącą gazetą „Naszym Życiem”. Wielki zaś wstyd będą mieli ci, którzy ani jednego numeru „N. Ż.” nie będą posiadali. Toteż apeluję do Was, robotnicy! Jest jeszcze czas! Niech wszyscy wiedzą, że polski robotnik to uświadomiony obywatel, to prawdziwy syn Ojczyzny.

Drugą z kolei bardzo ważną rzeczą jest to: każdy i każda z nas, powracając do Polski, niech oddaje ciężko, mozolnie zdobyty grosz tylko do rąk chrześcijańskich. A więc wszelkie nam potrzebne rzeczy kupujemy w spółdzielniach, firmach i sklepach tylko chrześcijańskich. Idźmy wszędzie w myśl hasła: „Swój do swego — po swoje”.

Popierajmy polskie spółdzielnie, kasy i stowarzyszenia. Przez ten czyn zbudujemy Ojczyznę gmach, który będzie naszą potęgą.

STRYSZKO PIOTR

polski robotnik rolny z
Braślawa

Piotr Kaszkur w liście do Staro Bartłomieja porusza znowu sprawę „oznaczenia w kontrakcie ilości godzin pracy”, bo to, jak stwierdza, „trzeba niejednokrotnie pracować po 17 godzin na dobę, szczególnie latem, bez żadnego odpoczynku w czasie obiadowym, a teraz, kiedy przyszedł

czas do domu jechać, to nawet na stację nie raczą odwieźć. Dużo z mojej okolicy pracuje przeszło 20 klm. od stacji — musieli więc iść na piechotę”...

OD REDAKCJI

Polskim robotnikom rolnym: Antoniemu Semiewskiemu, Antoniemu Maciejonkowi, Janowi Mukielowi, Konstantynowi Ławrutanowi, Piotrowi Kaszkurowi, Piotrowi Stryżko, Bolesławowi Girsie, C. Cybinowi i Józefowi Jaroszewiczowi serdecznie Bóg zapłać za pamięć i pozdrowienia dla Staro Bartłomieja, a zwłaszcza za zrozumienie znaczenia i parcie pisma polskiego „Nasze Życie”.



Z podróży Konsula R. P. w Rydze p. St. Ryniewicza



Z podróży Konsula R. P. w Rydze p. St. Ryniewicza

— „Pójdę i zwołam wszystkich.” śpiesznie powiedział Wanag i wyszedł na dwór. Tu kazał parobkowi Małnicka skoczyć na pagórek i gwizdnąć na Andrzeja, sam zaś odszukał resztę czeladzi.

Tymczasem Helena wciąż jeszcze stała przy oknie i patrzyła w dolinę, a Małnick znowu usadowił się przy oknie. Czy to na skutek wina, czy radość narzeczonego była tego powodem, dość że stary wyglądał teraz znacznie młodziej, niż przedtem. Policzki jego były lekko zaplonione, a w oczach, których nie spuszczał z pięknej twarzy Heleny, lśnił jakiś dziwny ogień. Siedział tak chwilę w zupełnym milczeniu ze szczęśliwym uśmiechem na wargach i słuchał dochodzącego z zewnątrz śpiewu skowronków. Albo może nie słyszał ich wcale?... Nagle powstał i zrobił parę kroków w stronę Heleny. Coś go korciło, ażeby co najmniej położyć rękę na jej głowie i pogłaskać jej bujne włosy. Lecz się zatrzymał, zawahał i usiadł znowu przy stole. Młodzieńczy zapał był tu niewskazywany, nie można było forsować. Więc siedział i patrzył na swoją narzeczoną, uśmiechając się szczęśliwym uśmiechem.

Wtedy wszedł Wanag i oznajmił, że czeladź zebrała się w dużej izbie.

— „Więc chodźmy,” powiedział Małnick i wstał. — „Ty, Heluś, weź szklanki i częstuj.”

Helena wzięła szklankę i butelkę. Małnick też zabrał jedną butelkę i wszyscy troje weszli do czeladniej izby. Wprawdzie głowa Heleny podniosła się dumnie, ale w sercu zadrżało pytanie: co też powiedzą wszyscy?

— „Oświadczam właśnie, że zabieram wam Helenę,” mówił wesoło Małnick. „Zostanie ona moją gospodynią. Wypijcie za jej zdrowie.”

Czeladź, która słyszała już nowinę od gospodarza, podniosła teraz szum pełen podziwu. Ktoby to myślał! Patrzcie, patrzcie! Jaka z niej będzie wymieniona gospodyni! Tak, tak, Małnick, umiał szukać! Porządniejszej w całym Widzeme nie znalazłby!... Jakaś matka z myślą, że w przyszłym roku będzie mogła oddać swego syna na pastucha do Heleny, o mało nie pocałowała ją w rękę.

Gwar ten dodał Helenie pewności siebie, rozdając wino w około, patrzyła prosto w twarz każdemu, nie spuszczając oczu. I gdy wszyscy pili, wiedziała już, że postąpiła zupełnie słusznie, przyrzekając swoją rękę Małnickowi, bo i we wszystkich twarzach poza wyraźną radością i podziwem, malowała się mniej lub więcej ukryta zazdrość. Obeszła dostojnie jeszcze jedną kolejkę, jak zażartował Małnick „na drugiej nodze”, gdy wszedł właśnie Andrzej. Na widok zebranej czeladzi,

Małnicka i Heleny z butelką w rękę zakłoczony stanął w progu.

— „Co się tu dzieje?” wykrzyknął i jakby niechcąco odsunął na tył głowy, wciąż jeszcze umajoną czapkę.

— „Wesele, przyjacielu, wesele,” odpowiedział Wanag, wskazując z dziwnym uśmiechem zaręczoną parę. — „To narzeczony — tam narzeczona... Helenko, bądź łaskawa, nalej i jemu szklanceczkę.”

Helena drgnęła nieznacznie, ale natychmiast odwróciła się do Andrzeja i zaczęła lać wino do szklanki, przy czym szyjka butelki kilkakrotnie dotknęła brzegów.

— „Proszę,” powiedziała wtedy i zbliżyła się o jeden krok do Andrzeja.

Jak steźały stał chłopiec przed nią. Co tu się działo? Czy ci ludzie przekomarzają się sobie? Czy może zwariował? A może bredzi?... Obejrzał się dokoła i ujrzał wszystkie spojrzenia skierowane na siebie, widział wszystkie twarze z niesamowitą wprost wyrazistością. Tam — matka Janka miała cztery zmarszczki na czole, tego dawniej nie zauważył... Czy miał może krzyknąć? I co on ma począć z tą ręką którą widział przed sobą w jasnoróżowym rekawie? A z tym krwawym winem? Wypić? Czy chlusnąć w oczy dawczyni?

— „No, pij, pij — pij na szczęście mło-

Oszczędzamy!

Poszedł Marek na jarmarek

Poszedł Marek
na jarmarek,
kożuch sobie kupił,
wziął na raty,
drobne spłaty —
kupiec go obłupił.
Kožuch za trzydzieści złotych —
sześdziesiąt na raty —
kupiec mówi: „Mam kłopoty
przez te wasze spłaty.
Zawracanie,
użeranie —
same tylko straty —
po 5 złotych co jarmarek
przynosi odąd Marek!”
Chodzi Marek
na jarmarek
i odnosi raty,
grosz zbiera,
klnie „Cholera!
Nie ma końca spłaty!”
Więc sąsiedy
na narady
radzą zgodnym kołem:
— „Chcesz ubranie,
składaj na nie
grosz do grosza — społem!”
Gdyby Marek
co jarmarek
pięć złotych odkładał —
miałby, panie,
kożuch taniej
i grosz by posiadał!

JKS

W następnym numerze „N. Ż.” znajdziesz artykuł, który objaśni, GDZIE I JAK NALEŻY OSZCZĘDZAĆ.

dej Małnickowej,” zachęcał stary i Andrzej ujął szklankę i wypróżnił ją do dna. Wtedy się odwrócił i wyszedł na podwórze.

W izbie wszyscy zamilkli.

Zacisnąwszy wargi Małniek obrzucił wszystkich spojrzeniem i wszedł na gospodarską połowę.

— „Przystojny, silny chłopak,” — przemówił spokojnie, stawiając butelkę na stole. — „Musimy go wynająć w przyszłym roku do Małniek,”

— „Nie wierzę, żeby się zgodził, tu mu się też dobrze powodzi,” — odpowiedziała Helena tak samo spokojnie, patrząc uprzejmie na starca.

— „Tak, tak,” potwierdził Małniek.

Tymczasem Andrzej szedł do stajni, do swego gniadosza, który, zgłodniały, pożyczał się sianem. Objął wilgotną szyję konia, przytulił czoło do grzywy i głaskał zwierze.

Kon parsknął i jadł w dalszym ciągu.

Chłopak nie ustawał w pieszczocie i gniadosz znowu parsknął, odwrócił jakby w zdumieniu głowę i dotknął pyskiem łokcia Andrzeja.

— „Gniadoszku mój!” szepnął Andrzej.

— „Gniadoszku!.. Koniku mój!.. Moje szczęście!.. Moje szczęście!..”

— „Mój kwiecie!”

K O N I E C

Robotniku polski!

Jeśli po otrzymaniu od Administracji powiadomienia o wygaśnięciu terminu prenumeraty nie masz zamiaru dalej prenumerować „Nasze Życie”,

jeśli zmieniasz gospodarza, a wraz z nim miejsce swego pobytu,

jeśli wracasz do Polski, natychmiast powiadomiasz o tym

Administrację „N. Ż.”, by nie ponosiła strat, wysyłając pismo nadawcze

Na listopad

Lecą liście z drzew obficie —
Tak ulata szybko życie:
Ziemia niby gmach żaloby —
Wszędzie groby... groby... groby...
Lecą liście z drzew z szelestem —
Wkrótce umrę choć dziś jestem —
Chwile życia płyną chyże:
Wokół krzyże... krzyże... krzyże...
Zaduszkowe jęczą dzwony,
Spiesz ludęk rozmodlony —
Na mogiły wieńce składa,
Szepcząc biada... biada... biada...
Tej brak matki, temu żony —
Płyną jęki dzwonią dzwony —
To początek listopada —
A liść z drzewa pada, pada...

Nadesłał polski robotnik rolny
Konstanty Ławrućan

Więści z Waszych stron

11. listopada w Warszawie



Fragment defilady młodzieży. Hufce szkolne Przystosowania Wojskowego



Las sztandarów organizacji młodzieżowych przed defiladą

Nasze porady i odpowiedzi

A. Smółka — Rauna. Dziękujemy bardzo za serdeczne dla nas słowa. Mocno żalujemy, że odjazd Pana do domu przerywa naszą korespondencję z Panem. Cie-

szymy się jednak, że Pan powróci do domu i odpocznie po ciężkiej pracy. Podany przez Pana rachunek prenumeraty zgadzamy się z naszym rachunkiem.



SPRAWY GOSPODARCZE



Inż. J. Lewandowski

Uwagi nad chowem cieląt

Tyle razy poruszano już sprawę wychowu cieląt, że zdawałoby się, iż jest ona już całkowicie wyczerpana i nie ma nic do dodania, a tymczasem, obserwując wychów młodzieży, widzimy, że w dalszym ciągu popełniane są kardynalne błędy. Nie będę poruszał w niniejszym artykule spraw żywienia, choć i na ten temat dałoby się bardzo dużo powiedzieć. Chodzi mi o zdrowy wychów i hartowanie cieląt za młodu.

Wychów u nas jest prawie wyłącznie oborowy, to znaczy, że zimą młodzież przebywa w budynku, wypuszczana jest na dwór mało, a i to przeważnie z wypędu korzystają jałówki starsze. Latem przebywanie na okólnikach ma większe zastosowanie, pastwisko natomiast należy do rzadkości; jest ono krótkotrwałe i stosowane prawie wyłącznie dla jałówek. Trzymanie na pastwisku buhajków, przeznaczonych do hodowli, uważane jest przeważnie za przesadę, jako rozpychające brzuchy i t. d. Przebywanie młodzieży nie tylko w dzień, ale i w nocy na pastwisku należy do rzadkości i nie spotyka się prawie zupełnie.

Jeżeli trafi się obora, która taki system wychowu zdrowotny, tj. na dworze, na pastwisku z dobrym skutkiem zastosuje, to stawia się ją za przykład i pisze się o tym specjalnie. Widać stąd, że ten sposób wychowu jest u nas rzadkością, podczas gdy powinien być regułą.

Panuje dziwna obawa przed hartowaniem cieląt, trzymaniem ich na dworze, od wczesnej młodości, nawet w mroźne, wietrzne dni, w stół itd. W dobie, kiedy ogrody miejskie, w kilkunastostopniowe mrozy, roją się od wózków z małymi dziećmi, kiedy jest to przez lekarzy gorąco zalecane, my w naszych cielętnikach uszczelniamy okna, mało tego, zasłaniamy je matami od wiatru, zatykamy wentylatory, obtykamy drzwi wałkami ze słomy, a są i takie pomieszczenia dla cieląt, w których pali się w piecu.

Najwadliwsze są przeważnie nowoczesne budynki, sklepione, na szynach, z podłogą cementową i takimiz przegrodami. Ponieważ zwierzęta u nas przebywają na oborniku, wytwarzająca się para skrapia się zwykle, osiadając na stropie. W tych warunkach trzeba by cielęta trzymać chyba pod parasolami. Zimno od cementu, połączone z wilgocią, stale kapiącą z sufitu, co sprawia, że młodzież jest zupełnie mokra — stwarzają fatalne warunki dla wychowu.

Gruźlica robi u nas duże spustoszenie; ludzimy się nieraz i zamykamy oczy, ale z ręką na sercu powiedzieć sobie musimy, że dobrze nie jest. Stąd bez wątplenia pochodzi, że bydło, trzymane przeważnie w przewiewnych, prymitywnych budynkach, jest stosunkowo zdrowsze od bydła, pochodzącego z dobrych nawet hodowli. Gra

tu rolę zahartowanie i choć wychów młodzieży w dobrych gospodarstwach jest nieraz słaby (dzisiaj zmienia się to bardzo in plus), to widocznie hartowanie za młodu robi swoje. Prowadzi się naturalną selekcję: co ma zdechnąć, to zdycha za młodu i jest to bodaj zasada najsluszniejsza. Szkoda wychowywać zwierzę gruźlicze, które ma kwękać kilka lat, zarazie kilka krów, swoich sąsiadek i wreszcie skończyć u rzeźnika. Lepiej niech padnie za młodu, jeśli nie wytrzyma hartowania.

System oborowego wychowu młodzieży odbija się bardzo na budowie zwierząt. Ogólną wadą naszego bydła są słabo rozwinięte przody i to zarówno u krów, jak i buhajów; ta wada budowy wiąże się częstokroć ze słabym rozwojem płuc i w dalszej konsekwencji powodować może łatwiejsze podleganie gruźlicy.

Żądając od krowy dużej wydajności, musimy mieć zwierzę dobrze zbudowane, zdrowe i długowieczne, a długo żyć może tylko zwierzę właśnie dobrej budowy i zdrowe, a więc chowane w warunkach naturalnych. Dążąc do poprawy wychowu, należałoby przede wszystkim odwrócić zupełnie pojęcia, trzeba by się zgodzić z tym, że nie zabezpieczanie cieląt od chłodu, ale właśnie trzymanie w budynku chłodnym zimą i wypuszczanie stale i możliwie na długo na dwór, od wczesnej młodości, powinno być regułą.

Nawiązując do sprawy budynków zaznaczę, że oczywiście czystość i porządek jest rzeczą konieczną, ale to nie znaczy jeszcze, że cielętnik ma być kosztowny, luksusowy. Szkoda pieniędzy na budynki z cementem wewnątrz, tym bardziej, że są one nie zdrowe, przeciwnie budynek prymitywny nieraz jest dużo lepszy i zdrowszy.

Ważną rzeczą będą duże okna, dostarczające światła, otwierane łatwo w celu wietrzenia, zastosowana odpowiednia wentylacja, szerokie drzwi, ale poza tym może to być budynek przewiewny, drewniany, a w każdym razie suchy, a więc nie ze stropem, z którego wilgoć leje się. Jeżeli jest taki strop, to pierwszą rzeczą będzie zrobienie dobrej izolacji, zabezpieczenie sufitu przed nadmiarem wilgoci. O ile obora, w której są krowy wysokomleczne, powinna być nieco cieplejsza, gdyż chłód wpływałby ujemnie na mleczność, powodując przy tym większe zużycie paszy na ogrzanie organizmu krowy, o tyle budynek, w którym trzymamy cielęta — powinien być raczej chłodny. Przegrody wewnątrz, ściany kopców najlepsze są drewniane, ze sztachetek, lat itd. (ażurowe). Czyste bielenie zapewni należyta czystość, obfite zaś ślania pozwoli utrzymać cielęta w czystości. Małe cielęta dopóki otrzymują mleko powinny być trzymane każde w osobnym kojczyku; z chwilą gdy już

nie otrzymują mleka i jedzą dobrze paszę suchą, a więc w wieku mniej więcej pół roku, najlepiej chowają się w dużych kojczach po kilka sztuk, gdzie mogą swobodnie poruszać się. Do karmienia cielęta w tych kojczach powinny być jednak związane, aby wzajemnie nie objadły się, poza tym powinny być spuszczone z uwięzi. Jak wyobrażam sobie hartowanie cieląt od wczesnej młodości? Powinno ono zacząć się w oborach, które tego systemu nie stosowały, wczesną wiosną, zimą trudno byłoby od razu pootwierać okna i drzwi, szczególnie tam, gdzie są małe cielęta. Wczesną wiosną, a więc np. w marcu, najmniejsze cielęta wypuszczamy na dwór na kilka godzin, przetrzymując je coraz dłużej i doprowadzając do tego, aby cały dzień i całą noc były na dworze; w tym celu prymitywne szpory na czterech słupkach, chroniące od zbytniego deszczu (w jesieni zaś śniegu) i od upału latem, w zupełności wystarczą. W ten sposób trzymając jałówki dojść powinniśmy do tego, aby zwierzęta przebywały na dworze do twardej jesieni i zahartowane mogły zimą również spędzać na okólniku po kilka godzin i być trzymane w chłodnym budynku, w którym drzwi mogą stać otworem, tak, że jałowice mogą do woli wychodzić na okólnik. Najmłodsze cielęta, trzymane początkowo w nieco cieplejszym pomieszczeniu też stopniowo wypuszczamy na dwór, przyzwyczajając do chłodu, mrozu, deszczu itd.

System ten stosować powinniśmy tym bardziej, o ile trudniejsza jest w gospodarstwie sprawa z pastwiskiem, a ta kwestia w większości wypadków stanowi poważny brak.

Prędzej krowy mleczne można utrzymać latem bez pastwiska, ale wychów młodzieży w tych warunkach jest trudny, do pomysłenia. Młodzież na pastwisku powinna przebywać dzień i noc; szczególnie nocowanie, do którego zwykle nie przywiązujemy wagi, jest bardzo ważne, bowiem zwierzę nie jest narazem wówczas na oddychanie wziętymi obory. Na pastwisku mogą być najmłodsze cielęta: wszak w innych krajach krowy cielą się na pastwiskach, a cielęta od urodzenia przebywają z matkami. Trzeba się wyzbyć przesady, że na pastwisku jałówki dostają brzuchoy; jałówka nie jest koniem wyścigowym i brzuch jej nie szkodzi, przeciwnie nawet musi ona mieć przewód pokarmowy rozepchany, musi za młodu przywykać do trawienia dużych ilości paszy objętościowej. Od posiadania pastwiska zależy zdrowie bydła, a więc i przyszłość naszej hodowli; stosunkowo wysoka wydajność naszych krów, wymaga jak wspominałem zwierząt zdrowych, dobrze wyzyskujących paszę, długowiecznych, a tego bez pastwiska nie da się osiągnąć.

Inż. J. Lewandowski

Z polskiego
zdobnictwa
ludowego



Wycinanki huculskie



Poleszucki przy wyrobie „lapci“



Stos garnków i misek przed ostatecznym wykończeniem



Charakterystyczne wycinanki łowickie



Wycinanki łowickie

Szczypta humoru

SMOK

Pewen stary malarz przez całe swoje życie malował tylko smoki, które podobne były do diabłów i upiórów.

W ostatnich dniach swego żywota oznajmił, że jego największe i najważniejsze malowidło smoka wkrótce będzie ukończone.

Przyjaciele, słysząc to, odwiedzili go, aby obejrzeć dzieło.

Na obrazie widać było góry, kilka drzew w poświacie księżyca, a po środku błyszcząca woda jeziora. Nic więcej.

Dziwiwni, zapytali:

— A gdzie jest smok?

Stary malarz odparł:

— Śpi na dnie jeziora.

UZASADNIONA OBAWA

— Młody dyplomata, który właśnie otrzymał powołanie na placówkę w Argentynie, zgłasza się na audiencji u ministra spraw zagranicznych.

— Panie Ministrze! Bardzo proszę o zmianę miejsca przydzielenia.

— Dlaczego? — zapytuje minister — Argentyna to śliczny, egzotyczny kraj.

— A jednak ja tam nie mogę jechać ze względów zdrowotnych. Tamtejszy klimat jest za ostry na moje płuca.

— Za ostry klimat?... Nie rozumiem tego.

— A tak, panie ministrze! Przecież jeszcze przed wojną przywożono z Argentyny do Europy urozoną mięso.

KAPELUSZ CHAPLINA

Jedna z największych fabryk kapeluszy w Ameryce rozlepiła olbrzymie plakaty następującej treści:

„Kapelusze marki **Smithson** są najlepsze!”

„Charlie Chaplin nosi stale kapelusze naszego wyrobu!!!”

Na drugi dzień pod plakatami można było czytać następujący dopisek konkurencyjnej fabryki:

„Dlatego śmieje się z niego cały świat!!!”

LON CHANEY

O zmarłym przed paru laty artyście filmowym, niezrównanym mistrzu charakteryzacji, opowiadają dwie następujące anegdotki:

Dwóch statystów idzie przez ulice Hollywood. Po drodze jeden z nich chciał przydeptać leżącą na jezdni gąsienicę. Na to woła drugi:

— Uważaj! To może być Lon Chaney!

* * *

Charlie Chaplin, przechodząc przez małą uliczkę w Hollywood, zauważył starszą panią, trzępiącą z przejęciem olbrzymi dywan.

Charlie był w dobrym humorze i śmiejąc się, zawołał:

— Niech pani nie trzępie tak mocno tego dywanu, bo to może być ucharakteryzowany Lou Chaney!

— Nic ma obawy, kochany panie Chaplin — odpowiada staruszka. — Lon Chaney, to jestem ja!

— Panie doktorze — mąż mój mówi przez ser — jak na to zaradzić?

— Niech pani pozwoli mi mówić w ciągu dnia..

* * *

To nie są proszę państwa żarty, ale mурowy fakt.

Hollywoodzki reżyser filmowy King Vidor potrzebował do pewnego filmu 500 czerwonoskórych. Aby tę rzecz urządzić możliwie podobnie do rzeczywistości, zaproponował on całemu szczepowi Indian Navajo, by za pieniądze przybyli do Nowego Meksyku.

Dzielní Indianie przybyli, jednakże ku ogólnemu zdumieniu okazało się, że nie posiadają oni żadnych strojów staroindyjskich, lecz wszyscy noszą modne stroje cowboyskie... Okazało się, że również w dalekiej ojczyźnie nikt z nich nie ma mokaszynów, piór i t. p. rekwizytów narodowych. Trzeba je było pożyczyc z kostiumerni.

Ale najgorsza rzecz zdarzyła się dopiero podczas zdjęć. Gdy wreszcie umalowani Indianie przystąpili do pracy i zdjęć, okazało się, że nie znoszą oni silniejszego słońca i ulegają uderowi słonecznemu. Już w pierwszy dzień odwieziono kilkunastu z nich do szpitala z ogromnymi pęcherzami na twarzach i ciele.

Następnego dnia przerywano zdjęcia co trzydzieści minut, ażeby walecznych Czerwonoskórych smarować kremem przeciwko opaleniznie.

* * *

Fryderykowi Wielkiemu, zameldowano pewnego dnia, gdy właśnie był bardzo zajęty, że pewien chorąży, pragnie mu przedstawić prośbę i nie można się go pozbyć.

Król, który miał słabość do żołnierzy, zgodził się na to niechętnie, jednakże pod warunkiem, że chorąży powie tylko dwa słowa.

Za chwilę chorąży stanął przed królem, wyjął z kieszeni patent na podporucznika i powiedział: „Przepraszam, proszę o podwyższenie!”

„Proszę podpisać!”

Król przez chwilę milczał zaskoczony, potem wziął papier z rąk chorążego, wpisał na nim w miejsce „podporucznika” słowo „kapitan” i śmiejąc się powiedział:

— Mam pewną słabość nawet do bezczelnych. Ale niech pamięta, że jeśli jeszcze raz pozwoli sobie na podobny żart, to każe go powiesić!”

Oficer ów okazał się później jednym z najdzielniejszych.

* * *

Lekarz londyński dr. J. A. Goodiełłow wystąpił w jednym z czasopism lekarskich z sensacyjnym twierdzeniem, że płacz jest niezmiernie korzystny dla zdrowia, gdyż jedna tylko łza zabija około 25 bakterii w oku.

Wobec tak rewelacyjnego odkrycia, trzeba się zastanowić, czy łzy jako wyraz cierpienia, a śmiech jako radość, nie są nabytkami cywilizacji i czy nie dałoby się tak przerobić człowieka, by płakał z radości i śmiał się z żalu.

No, i precz z piosenką: „Szkoda twoich łez dzień-czyno”. Płacz, kochanie, będzie mniej bakterii.